Nr. 50. POZNAŃ — KATOWICE — KRAKÓW. Rok V.
Niedziela, dnia 15-go Grudnia 1901 r.



Przedpłata w Poznaniu i na wszystkich pocztach w Niemczech wynosi kwartalnie 1,25 mk.; na poczcie w Austro-Węgrzech 1 kor. 73 hal.
Pod opaską: w Niemczech 1,90 mr., w Austro-Węgrzech 2 kor. 30 hal., za Oceanem 1 dolar 25 cent.
Redakcya i Administracya „Pracy" znajduje się w Poznaniu przy ulicy Rycerskiej Nr. 38. Telefon Nr. 1246.
Manuskryptów nie zwraca się.

Paderewskiemu.

Mistrzu nasz!

Zdobyłeś poklask całego świata; gdziekolwiek zawitasz, witają Cię z zapałem — i rzucają kwiaty pod stopy Twe nawet ci, którzy imię polskie wspominają z nienawiścią... Dziś, kiedy zawitałeś do nas, serce tej ziemi, która sama sercem Polski jest, — z uniesieniem radości wita Cię, — wielki Polski Synu!

Redakcya.



A więc jesteśmy!

A więc jesteśmy!

Już od dość dawna zapowiadał „Górnoślązak" powstanie swe i przyszłą działalność; z chwilą niniejszą byt jego stał się faktem dokonanym, z którym liczyć się muszą i swoi i obcy.

O tem, czego „Górnoślązak" pragnie, do czego dąży, jakie hasła jego i jakie środki — o tem obszernie i szczegółowo mówi sam „Górnoślązak;" tu więc tylko w kilku słowach wspomnieć jeszcze chcemy o ogólnym duchu, w jakim nasz nowy szermierz pracować będzie.

Zanim zdołał „Górnoślązak" program swój rozwinąć, hasła wydać, a już samo tylko zapowiedzenie jego powitano z różnych stron w różny sposób i z różnemi uczuciami...

O przeciwnikach naszych plemiennych mówić tu nie będziemy. Rzecz jasna, że Niemcy każdy objaw życia polskiego przyjmują z żywą niechęcią; nas ta ich niechęć, a choćby i zawiść nie niepokoi; przeciwnie podnieca nas ona, zagrzewa do coraz to żywszej działalności,

Nie mogą nam jednak obojętnemi być głosy, jakiemi wśród swoich, wśród rodaków naszych powitano wiadomość o bliskiem powstaniu nowego pisma. Nie będziemy tu wynurzali radości doznanej z tak licznych i żywych dowodów życzliwości i przyjaźni. Bóg sam świadkiem, będziemy się starali, aby odpowiedzieć nadziejom, jakie w nas przyjaźń ludzka pokłada.

Cóż jednak powiedzieć tym ze swoich, którzy na nas patrzą z niechęcią, przyjmują nas z niedowierzaniem, ostrzem krytyki w nas godzą? Cóż im powiemy?

Tylko tyle: krytyka i sąd o nas przedwczesne. „Z owoców ich poznacie je." Zobaczymy więc, jakie „Górnoślązak" wyda owoce; odczekajmy rok jeden albo i więcej działalności jego, a potem przystąpmy do obrachunku, sądu i krytyki nad tą działalnością.

Między innemi spotkaliśmy się ze zarzutem, że na sztandarze naszym wypisaliśmy wyraźnie jedno wielkie hasło:

„Polskość."

Powiedziano nam: „to nie żaden program, ani nie społeczny, ani nie polityczny; my potrzebujemy wyraźnych programów, mających na oku polepszenie doli naszego ludu górnośląskiego."

I my rozumiemy w pełni konieczną potrzebę takiego programu; to też rozwinęliśmy go obszernie powyżej. Jedno wszakże robimy tutaj zastrzeżenie: Ponad wszystkie programy społeczne czy polityczne, po nad wszystkie hasełka i programaciki, jakie się w różnej potrzebie chwili odzywają, czy odzywać będą, ponad one wszystkie droższem i świętszem nam będzie to jedno wielkie hasło:

Nieskażona polskość, niczem nieskażona godność narodowa.

Tem dobrem nigdy kupczyć, ni handlować nie będziemy. Nigdy nie będziemy go dostosowywali do potrzeb chwili i przejściowych programacików, przeciwnie, programy i dążenia nasze będziemy zawsze

mierzyli tamtym wielkim ideałem i z nim je godzili.

My nie chcemy być owymi lekarzami, którzy nad łożem niewiasty w letargu leżącej stoją i kłócą się o to, wedle której metody ją leczyć, lecz będziemy się zawsze odzywali głosem owego syna, który z wiarą i miłością woła: „O matko moja“ — aż niewiasta na ten głos syna zbudzi się i wyzdrowieje.

Pomni tej głębokiej przepowieści wieszcza naszego, nie będziemy się kłócili o drobne, chwilowe programaciki, ale będziemy się starali jednoczyć pod sztandarem swym tych wszystkich, którym niezmiennie dobro narodu polskiego, jako narodu jest drogie.

Wierzymy niezłomnie, że pod tym sztandarem staną przy nas, ramię przy ramieniu ci wszyscy, którym nie dosyć być lekarzami, ale którzy chcą być prawdziwymi synami i kochać Matkę Ojczyznę.

Przyjmijcie więc „Górnoślązaka“ w dom jako Waszego przyjaciela, przyjmijcie go tak samo życzliwie, jak on Wam całem sercem oddanym będzie.

Niech i „Górnoślązak“ stanie się przyjacielem, niech się stanie powiernikiem Waszym, a wnet przekonacie się, że on godzien zaufania Waszego. Przyjmijcie „Górnoślązaka“ w dom.

Redakcya „Pracy.“



Dr. Rakowski.

Gdy kto w pełni sił młodzieńczych, niesie sprawie publicznej życie i wolność w ofierze, — naród hołd mu oddaje powinny i wiją wieńce mu ci, dla których piersi nastawiał pociskom. Gdy kto na ołtarzu sprawy, dla której żyje, życie młode położy — lub skarb droższy nad życie — wolność — płacze lud takiej ofiary — a ci, co wspólnie z nim stali w jednym szeregu, poświęcać mu będą w tęskne długie wieczory chwile pamięci — wspominać będą imię i czyny jego i liczyć będą chwile, aż wolny z nimi się połączy.

Taką tęskną chwilę poświęcamy Ci dziś, wierny Towarzyszu, którego na długo zbraknie między nami.

Dr. Rakowski należy do tych ludzi, których ogarnia płomieniem dążenie do idealnego, powziętego celu, — dla tych ludzi staje się interes publiczny — osobistym interesem. Są to apostołowie i niewolnicy idei zarazem.

Lata całe pracował z nami wspólnie, pod hasłem, któreśmy na własnym wypisali sztandarze, ku obudzeniu narodu i ku wpojeniu weń poczucia we własne siły.

I praca jego uczyniła imię jego głośnem i drogiem. Dziś człowiek ten wyrwany z pośród pracy swej.

Dwa lata więzienia dla człowieka, przywykłego do ciągłej umysłowej pracy, dla człowieka, którego organizacya umysłowa potrzebuje gorączkowego zajęcia — to kara straszliwa. Umysły mniej wrażliwe wyniszcza zwolna nieznośna samotność więzienna, wyrwanie z pośród życia i to obezwładnienie przymusowe. Dla umysłu wrażliwego, przeczulonego wskutek pracy, wyposażonego we wszystkie przymioty i wady kultury naszej, — kara taka to powolna śmierć. Dziennikarz, którego polem pracy jest życie, przez tak długi czas straci koniecznie styczność ze światem i wątek rozwoju, — dla niego kara taka równa się zarazem materyalnej ruinie.

I pomyśleć, że kara ta straszna, na której wspomnienie człowieka wstręt ogarnia do wszystkiego, co dawne i skostniałe formułki przyoblekły we władzę, spowodowana jest napisaniem trzech artykułów. Jak straszne przepaście dzielą dzisiaj społeczeństwa, kiedy co dla jednego jest szczytnem i wielkiem, dla drugiego tak ogromne oznacza przewinienie!

Zestawienie tych przewinień i kary napełnia nas przekonaniem, że najwyższy sąd Rzeszy wyrok ten zniesie, że przecież muszą się znaleźć sposoby, aby na drodze prawnej ochronić człowieka od tak straszliwego nieszczęścia. Niepodobna, aby w państwie dzisiejszem tak straszną było zbrodnią wypowiedzenie własnych przekonań. Niepodobna, aby prawodawstwo nie dawało sposobów do naprawienia wyroku, który choć prawnie oparty, jest straszny. Dlatego dołożymy wszelkich starań, aby uzyskać wyrok uwalniający, lub przynajmniej mniej surowy.

Winni to jesteśmy i człowiekowi temu, który towarzyszem nam był przez tak długie lata i sprawie, dla której on jest potrzebnym.

Dlatego poświęcając Ci, Druhu drogi, dzisiaj tę tęskną chwilę rozpamiętywania, wołamy ci za mury więzienne: do bliskiej współpracy. Tymczasem my dzieło, do którego i Ty przykładałeś ręki, niezmienione i nieuszczuplone prowadzić będziemy dalej. Zwarły się szeregi nasze silniej po Twojej stracie, ale nie zachwiały. Wielu nas jest, po za nami stoi naród cały. Tylko nam tęskno, że Ciebie nie ma wśród nas.

Szeregowcy.



Dr. K. Rakowski i M. Biedermann przed trybunałem pruskim.

W gmachu poznańskiego sądu ziemiańskiego, w sali przeznaczonej zazwyczaj do wyrokowania o pospolitych zbrodniach i występkach ze współudziałem przysięgłych, rozgrywał się w zeszłym tygodniu niezmiernie przygnębiający dramat. Za kratkami, gdzie już dziesiątki, setki i tysiące rzezimieszków, złoczyńców, łotrów i zbrodniarzy, dręczonych sumieniem lub może nawet odartych z sumienia, żebrało o litość i pobłażanie dla krzywd ciężkich, wyrządzanych bliźnim, — tam przez dwa dni odpierało zarzuty prokuratoryi dwóch młodych obywateli, na których sumieniu nie zaciężyła żadna inna wina, prócz tej, że kochają

szczerze kraj ojczysty i naród, który ich ze swego wydał łona. Takie sumienie nie potrzebuje się trwożyć, nawet wtenczas, gdy władza oskarżająca podnosi uzasadnione paragrafami ustawy prasowej zarzuty, nie potrzebuje się lękać — tego, co najstraszniejsze: potępiającego opinii publicznej wyrazu. I może właśnie to w naszych procesach prasowych tak bardzo przygnębiające sprawia wrażenie, że: po stronie oskarżonych jest życzliwość i współczucie ogółu, po stronie oskarżających surowe paragrafy kodeksu karnego, nie pytające o nastrój, usposobienie, o przeświadczenia i uczucia ogółu polskiego. Co prawda, w twardej szkole dziejowej nauczyliśmy się sami taić w sobie to, co stanowi istotę narodowych naszych myśli i uczuć. Społeczeństwo nasze od lat tylu, wiedzione ręką Opatrzności po ciernistej drodze doświadczeń bolesnych, tak się już zahartowało w cierpieniach, że potrzeba niezwykle dramatycznych momentów, potrzeba nieobliczalnych klęsk, zadanych procesami przeciwko młodzieży naszej, potrzeba zdumiewającego świat wyroku trybunału gnieźnieńskiego, ażebyśmy wydali z siebie głośniejszy krzyk bólu, a na niwach polskich donośniejszem echem rozbrzmiało złowieszcze „vae victis“...

A jednak proces, poprzedzony niespodziewanem aresztowaniem dra Kaźmierza Rakowskiego, jakkolwiek bezpośrednio nie dotykający sfer szerszych, żywo poruszył opinią ogółu. Przyczyny atoli nie należy szukać w przedmiocie inkryminacyi, określonej w stereotypowych słowach „Aufwigeleien zu Gewaltthaetigkeiten“ i t. p., lecz w osobach oskarżonych i towarzyszących okolicznościach.

Po raz pierwszy zapewne zdarzyło się, że przed trybunałem karnym sądów pruskich stanął młody, utalentowany, dzielny pracownik, obcopaństwowej przynależności, który na terytoryum pruskiem schwytany i aresztowany, tłomaczyć się musiał przed sądem z powodu artykułów publikowanych w obrębie państwa pruskiego w czasie pobytu jego po za tegoż państwa granicami. Po raz pierwszy zapewne poddano surowemu wyrokowi literata zagranicznego za przypisywane mu słusznie czy niesłusznie prasowego przestępstwa, którego w granicach państwa pruskiego popełnić nie mógł, będąc poza jego granicami. Ale przypuśćmy, że p. dr. Rakowski istotnie pisał niezgodne z pruskim kodeksem karnym artykuły, jako poddany rosyjski, a jako mieszkaniec austryacki; przypuśćmy i to, że był jedynym ich autorem. Zkądże — tak ze stanowiska prostej logiki zapytać się godzi — odpowiadać ma przed sądem pruskim za to, że jego elaboraty w obrębie państwa pruskiego były publikowane? Podług głównych zasad kodeksu karnego tylko zdrada stanu, tylko czyny zagrażające całości państwa, popełniane przez obcych poddanych poza granicami Niemiec, podlegają karze; zkądże więc obcokrajowiec sądzonym ma być za to, że za granicą przelał z swych myśli i uczuć na papier coś, co się Prusakom nie podoba?

A może karygodnem jest to, że myśli spisane wysłał? A cóż to? Przecież i akt wysłania popełniony został w takim razie poza granicami państwa pruskiego, a więc też czyn karygodny i przy takiem pojęciu mógłby być przedmiotem procedury karnej w tem tylko państwie, gdzie był dokonanym, a więc chyba tylko w Austryi. A jeżeli w końcu karygodnym stał się czyn przez publikacyą w Prusiech, to przecież aktu publikacyi p. dr. Rakowski dokonać nie mógł, zamieszkując we Lwowie lub w Krakowie!

Publikacya nie od niego zależała. Mógł być tylko autorem artykułów, a w żadnym razie sprawcą publikacyi! Sprawcą odpowiedzialnym mógł być tylko redaktor miejscowy, oddający artykuł do drukarni i mający władzę rozstrzygania o treści pisma. Pan dr. Rakowski, jeżeli jest częściowym lub wyłącznym autorem publikowanych elaboratów, mógł je przecież tylko pisać i wysłać! A czyż odpowiadałby i za takie artykuły, które pisał, wysłał, a których, dajmy na to, redaktor odpowiedzialny nie oddał do druku i wstrzymał od publikacyi? Każdy logicznie myślący człowiek odpowiedzieć musi przecząco na takie zapytania. Przy rewizyi więc wyroku, zapadłego w sądzie poznańskim, należałoby przedewszystkiem rozstrzygnąć kwestyą, czy p. dr. Rakowski, pisząc za granicą i przesyłając prace do dyskrecyi redakcyjnej, podlegał istotnie pruskim sądom i pruskim wyrokom, a następnie, czy o uwolnienie jego na mocy międzynarodowego prawa, nie miałoby obowiązku upomnieć się to państwo, do którego skazaniec, jako poddany, należy.

Podług zasad logiki pojmanie, badanie i skazanie p. dra Rakowskiego stanowiłoby fatalny w międzynarodowych i międzypaństwowych stosunkach precedens. Wyrok surowy skazał więźnia na kaźń dwuletnią za to, że pisząc *w Krakowie,* miał *w Prusiech* „podburzać do gwałtów“. Faktem zaś jest, że ani wzburzenia nie było widać wskutek przypisywanych jego autorstwu artykułów, ani też gwałtów nie było żadnych, które choćby sztuczkami sofizmatycznemi można upleść w przyczynowy jaki z temi artykułami związek. Natomiast w ostatnich tygodniach zdarzyły się fakty inne: Oto w Gnieźnie, w mieście należącem do Prus, sędziowie pruscy wydali wyrok, który wstrząsnął opinią całej Europy, a w Warszawie, w Lwowie i innych miastach, leżących poza granicami Prus, stał się taką „Aufwiegelung zu Gewaltthaetigkeiten“, że w konsulatach niemieckich od gradu kamieni szyby pryskały w kawały, a emblematy konsularskie z niemieckiemi orłami w szpetną popadły poniewierkę. Było tam zbiegowisko, był rozruch, były gwałty! Zapytajmy się, na podstawie równej interpretacyi

prawa, jak ta, która musiała chyba poprzedzić postępowanie przeciwko p. drowi Rakowskiemu, czyby sędziowie gnieźnieńscy mogli bezpiecznie pokazać się w granicach państw sąsiednich, czyby ich władze tamtejsze powinny pozostawić na wolnej stopie, ich, których wyrok stał się w państwach sąsiednich dla pewnej części ludności pobudką do publicznych zaburzeń i gwałtów. W każdym razie zalecićby należało ostrożność sędziom gnieźnieńskiego trybunału, gdy korzystając z gościnności państwa austryackiego chcieli latem w Karlsbadzie, Marienbadzie lub Cieplicach zażyć wywczasu po wyczerpujących siły sądach i wyrokach. Ostrożność zalecałaby się tym goręcej, że to, co wyrok gnieźnieński wywołał w państwach ościennych, tego artykuły, przypisywane skazańcowi z Krakowa przez sąd pruski, faktycznie w Prusiech nie sprawiły.

Mniej fatalnym, ale równie osobliwym był jednocześnie rozstrzygnięty proces przeciwko wydawcy „Pracy“, p. Biedermannowi, o „sprzyjanie w przestępstwie“. Znak dany p. dr. Rakowskiemu na dworcu wrocławskim, ażeby się oddalił, a następnie mylna informacya, udzielona w hotelu komisarzowi w chwili aresztowania, stała się przedmiotem oskarżenia, a tytułem do zawyrokowania sześciotygodniowego więzienia.

Wyroki trybunału karnego w Poznaniu nie ugodziły oczywiście w samych tylko oskarżonych. Pan dr. Rakowski skazany na kaźń dwuletnią, żona zaś jego z dziećmi, sędziwa matka i brat, akademik, skazani na dwuletni niedostatek, na dwuletnią kaźń — a jeśli więzień kary nie przeżyje — na dłuższą, może dozgonną walkę o chleb. Pan Biedermann skazany na kaźń sześciotygodniową, a dwa jego przedsiębiorstwa poważne na straty dotkliwe, których może lata całe nie zrównoważą.

Ale literze prawa w myśl wniosku prokuratoryi stało się zadość.

Justyn.

W obec tak surowego wyroku, jaki zapadł mianowicie na p. Dr. Kaz. Rakowskiego — zabrały głos nieomal wszystkie pisma polskie, wyrażając skazanym sympatyę i współczucie. A „Nowa Reforma“, jedno z najpoważniejszych pism galicyjskich pisze:

Znowu skazani!

Znowu odezwała się twarda, bezlitośna Temida i w czeluście więzienia wepchnęła dwie polskie ofiary. — Znany zaszczytnie publicysta polski, dr. Kazimierz Rakowski, skazany został przez Izbę karną w Poznaniu na dwa lata więzienia; drugiemu oskarżonemu, wydawcy „Pracy“, Marcinowi Biedermannowi, podyktowano sześć tygodni więzienia.

Za co skazano Rakowskiego? Jako poddany rosyjski wydalony był z granic państwa pruskiego. Ale tam zostało jego pismo, które zasilał swojem piórem, które rzucał między lud polski; tam zostało jego serce, źródło jego natchnień i publicystycznych zapałów. Cóż dziwnego, że szczerze Ojczyznę swoją miłujący publicysta przekroczył granicę polityczną, którą pokrajano Polskę? Przekroczeniem więc było wobec władzy pruskiej to, co było wypływem naturalnego niejako pędu polskiej duszy. Rakowski nie mógł się wstrzymać od zetknięcia z własnem społeczeństwem, dla którego żył, dla którego wszystkie swoje poświęcał siły.

Oskarzono go także o autorstwo artykułów, w których prokuratorya pruska dopatrzyła się „pogardy i obrazy b. ministra Podbielski'ego, podawania w pogardę urządzeń państwowych w Prusiech“. Czyż takie instytucye państwowe, jak komisya kolonizacyjna, mogą w Polaku wywrzeć uczucie przychylne? Hakata wysila się formalnie, aby tendencyą swoją wywołać wśród Polaków uczucia dla rządu wrogie. Hakata wrogami państwa chce Polaków zrobić, aby mieć powód do ich zgermanizowania. Jeżeli więc publicysta polski w właściwem świetle przedstawia wrogą dla swego narodu tendencyą Hakaty pruskiej i jej pobocznego rządu, — spełnia przez to swój obowiązek. System pruski tchnął w całą konstelacyą państwa takiego ducha, że właściwie każdy Polak może tam dzisiaj dostać się do więzienia już dlatego, że ośmielił się nieco głośniej zadokumentować, że jest Polakiem. Doszło do tego, że w obliczu Hakaty zbrodnią jest już sama przynależność do narodu polskiego, cóż dopiero, gdy ktoś wzywa innych, aby do tej narodowości głośno się przyznawali!

Atoli nawet wedle srogich ustaw pruskich było trudno o prawny powód do skazywania dr Rakowskiego za autorstwo inkryminowanych artykułów.

Choremu, znękanemu człowiekowi, wymierzono najwyższą karę, jakiej ani on, ani jego obrońca, ani wogóle nikt z tych, co już poznali się z sądami pruskiemi, spodziewać się nie mógł.

Dwa lata więzienia za niedozwolone przekroczenie granicy pruskiej i za domniemane autorstwo artykułów dziennikarskich: to rzecz niebywała nawet w Prusiech. Powszechna przecież panowała w prasie poznańskiej opinia, że Rakowski będzie uwolniony!

Nowy okrzyk zgrozy wyrwie się ze zbolałych piersi społeczeństwa polskiego. — Jeszcze nie ochłonęliśmy po wyroku gnieźnieńskim — a już mamy nowy poznański.

Nie wolno nam zwątpić o sobie. Polsce nie braknie bojowników za narodową sprawę.

Dr. Rakowski pracował piórem na chleb codzienny dla siebie i swej rodziny. *Skazany za służbę narodową na 2 lata więzienia,* zostawia żonę z dwojgiem dzieci i matkę staruszkę bez środków utrzymania. Zająć się ich losem jest obowiązkiem społeczeństwa polskiego; ono zastąpić im musi opiekę, której im braknie. *Dr. Rakowski spełnił swój obowiązek wobec społeczeństwa, — ono spełnić musi swój obowiązek wobec jego rodziny.* Obowiazek za obowiązek.

Należy się od nas rodzinie dr. Rakowskiego, nie ubliżający jej godności, bo dla każdego Polaka zaszczytny „dar narodowy“. Niech więc część ofiarności publicznej tak hojnie płynącej na rodziny wrzesińskie, skieruje się także, celem ufundowania „daru narodowego“ dla rodziny dr. Rakowskiego.

Otwieramy więc z dniem dzisiejszym nową rubrykę składek, które przyjmuje zarówno redakcya, jak administracya naszego pisma.

* * *

Głos powyższy podejmujemy z całą gotowością wzywając i naszych czytelników by dziś, gdy więzień w nieszczęściu okazali swe sympatye oskarżonemu przez nadsyłanie składek, celem ufundowania „Daru Narodowego“ dla rodziny dr. Rakowskiego. Więzień był Wam czytelnicy oddany duszą całą, — dajcie mu teraz dowód, żeście i wy o nim niezapomnieli...



Rzut oka w niedaleką przeszłość.

Po załagodzeniu kulturkampfu i skasowaniu praw majowych książę Bismark kilkakrotnie oświadczył w mowach swych w sejmie i w parlamencie, że do kulturkampfu popchnęła go „polska magnaterya“, która za pomocą istniejącego w Berlinie wydziału dla spraw katolickich, szerzyła „agitacyę polską posługując się pozorami wyznaniowymi.“

Oświadczenie to dalekiem jest naturalnie od szczerości i prawdy, pod jednym względem jednak odsłania cele polityki żelaznego księcia, stwierdza bowiem specyalnie antypolskie cele polityczne, którymi obok innych celów — rządził się Bismark rozpoczynając walkę kulturną.

Po zawarciu zawieszenia broni z Rzymem Bismark jednak dale-

kim był od wyrzeczenia się swych projektów zduszenia odrębności ludności polskiej. Owszem, postanowił on raczej tem silniej, już bez odsłonek zastosować wobec Polaków polityczne siły.

Zastanawiającem jest jednakowoż, jak mało znał Bismark przeciwnika, z którym chciał toczyć walkę. Kanclerz upatrywał wroga jedynie w nielicznej warstwie szlachecko-ziemiańskiej, oraz poczęści w duchowieństwie, przekonany zaś był zupełnie o tem, że niższe warstwy: chłop, robotnik, wieśniak — zupełnie są przywiązane do Prus i zżyły się z dynastyą i państwem. Ztąd też owo niesłychane lekceważenie, z jakiem traktował Bismark Polaków w sejmie i w parlamencie*), i ta niebywała buta, z jaką w parlamencie posłom polskim odpowiadał, że „nie mają prawa przemawiać w imieniu polskiego społeczeństwa, bo co najwyżej w imieniu nielicznej klasy obywateli ziemskich.“

Lekceważenie to sił przeciwnika oraz przekonanie, że państwowa władza, za pomocą zastosowania mechanicznej siły reprezentowanej przez dobrze funkcyonujący aparat biurokratyzmu, zdoła zupełnie zniszczyć te wpływy „agitatorów“, a z ludności polskiej zrobić już w najbliższem pokoleniu ludność niemiecką, — to przekonanie podyktowało Bismarkowi szereg praw wyraźnie przeciw Polakom skierowanych: zaprowadzenie języka niemieckiego w szkole, przy wykładzie religii, komisyę kolonizacyjną, a przedewszystkiem — wydalenie Polaków nie mających obywatelstwa pruskiego.

W ciągu roku 1885-go rząd pruski wydalił około 40 tysięcy Polaków, osiadłych w Księstwie i w Prusach Zachodnich. Pomiędzy wydalonymi byli ludzie w drugiem pokoleniu osiedli w Księstwie, którzy brali udział w wojnie francuskiej i austryackiej; niedołężni starcy, którzy całe życie mieszkali w zaborze pruskim, samotne kobiety i dzieci osierocone.

To wydalenie 40 tysięcy stało się wypadkiem, który poruszył umysły w całej Europie, i spowodował interpelacyę polską w sejmie pruskim, popartą przez niemieckich katolików, wolnomyślnych i socyalistycznych posłów. Lecz interpelacya w sejmie (w maju 1885), w którym rząd miał stałą większość, nie wywołała pożądanego wrażenia; załatwił ją w kilku zdaniach minister Puttkamer, a Bismark nie zadawał sobie nawet trudu odpowiadania. To spowodowało w grudniu 1885 wniesienie nowej interpelacyi i tym razem w parlamencie niemieckim. Pod interpelacyą podpisała się większość członków Izby.

Wywołało to pożądane wrażenie na rządzie, które w pierwszej linii zaznaczyło się demonstracyjnem oświadczeniem w imieniu króla pruskiego, że sprawy wewnętrzne pruskie nie podlegają kompetencyi parlamentu. Gdy pomimo to przywódzca partyi centrowej, Windhorst, zabrał głos w tej sprawie, Bismark, a wraz z nim członkowie rady związkowej opuścili salę obrad. Dopiero przy późniejszych debatach, z okazyi zatwierdzenia pensyi kanclerskiej, wywiązała się żywa dyskusya, w której Bismark oznajmił, że rząd pruski nie ograniczy się tem tylko, lecz że w polityce antypolskiej pójdzie *jeszcze dalej*.

W następnym też roku 1886 w mowie tronowej wyraźnie się zarysował program polityki germanizacyjnej, a w dyskusyi w sejmie, która się wywiązała z powodu projektu komisyi kolonizacyjnej, Bismark oświadczył cynicznie, że państwo zamierza „*wywłaszczyć*“ (expropriieren) polskich właścicieli ziemskich za pomocą komisyi kolonizacyjnej (mowa z dnia 28-go stycznia 1886).

A gdy mu na to odpowiedziano, że przecież wszyscy obywatele państwa wobec prawa są równi, Bismark odrzekł: „*Na wojnie zdarza się nieraz, że trzeba stracić z oczu zasadę równości wobec prawa.* Państwo, które w walce musi zapewnić sobie byt, zarówno w czasie wojny, jak i w czasie pokoju, nie zawsze jest w stanie trzymać się utartych torów.“

Na gruncie takiej etyki powstała komisya kolonizacyjna. Jak łatwą się wydawała Bismarkowi walka z tym wrogiem, wynika z tego, że koszt wywłaszczenia wielkich właścicieli ziemskich, Polaków obliczył na 100 milionów talarów i wyraził nadzieję, *że w Monaco te pieniądze szybko się ulotnią*.

Na razie rząd życzył sobie wyasygnowania 100 milionów marek na cele kolonizacyi, równocześnie jednak żądał od sejmu zatwierdzenia ustawy szkolnej, wprowadzającej język niemiecki do szkół ludowych przy wykładzie religii; sejm wszystko przyjął większością 240 głosów przeciw 120 głosom. *Dnia 7 go kwietnia zapadła ostateczna uchwała*.

Od tej chwili polityka pruska wobec Polaków kierowała się zasadą bezwzględności, proklamowaną przez Bismarka tak otwarcie przez postawienie antytezy: Państwo — *przeciw Polakom*.

Lecz gwiazda Bismarka zagasnąć miała niebawem. W roku 1888 zmarł cesarz Wilhelm, a po krótkiej fazie przejściowej panowania Fryderyka III, rozpoczęło się panowanie Wilhelma II. Nowy władzca przyniósł ze sobą szereg nowych idei, zasadniczo różniących się od systemu Bismarka i to w kwestyi 1) polityki kościelnej, 2) polityki wobec socyalistów, 3) wobec Polaków. W roku 1890 Bismark został usunięty z urzędu. Z tą chwilą rozpoczęła się w stosunkach polsko-pruskich nowa era. —

— — — — — — — —

A teraz rzućmy okiem na wyniki i całokształt antypolskich praw z czasów Bismarka. Widzimy ich działanie i skutki na trzech odrębnych polach, na polu wyznaniowo-religijnem, na polu szkol-

*) Dość tu przypomnieć mowę w parlamencie z 19 lutego 1878 roku, w której drwinkował sobie, że dla rozwiązania „kwestyi polskiej“ najlepiej by było oddać kilka powiatów polskich socyalistom.

nictwa oraz na polu kolonizacyi i wykupywania ziemi polskiej.

Na polu wyznaniowo-religijnem doznała polityka Bismarka zupełnej porażki; *duchowieństwo polskie w czasach walki kulturnej pokazało stałość przekonań i niezłomną odwagę połączoną z poświęceniem.* O te cechy charakteru rozbiły się plany Bismarka. Jedynym ich śladem — *to lata więzienia, które odsiedzieli księża polscy,* — oraz przemijająca era zasiadania ks. Dindera na stolicy arcybiskupiej.

Na polu szkolnictwa również natrafiła polityka Bismarkowska na nieprzezwyciężone szkopuły: wykład niemiecki religii i skasowanie języka polskiego po paru latach musiały się skończyć cofnięciem się państwowej władzy przed jednomyślną opozycyą społeczeństwa.

A wyniki polityki kolonizacyjnej? — Aby te dokładnie oświetlić, cofnijmy się jeszcze do chwili, kiedy komisyą kolonizacyjną tworzono.

W roku 1886, przy obradach nad pierwszym projektem komisyi kolonizacyjnej książę Bismarck wypowiedział słowa następujące (mowa z d. 26 stycznia 1888).

„Obecnie w rękach polskiej wielkiej własności szlacheckiej pozostaje w Księstwie Poznańskiem około 650 tysięcy hektarów ziemi. W okręgu rejencyjnym poznańskim czynsz z królewskich domen wynosi 20 mrk. z hektara. Jest to przeważnie czysta rola i łąka; gdy włączymy do tego jeszcze ugory oraz lasy i nieużytki, wypadnie, że te 650 tys. hekt. przynoszą 15 mrk. czyli 5 talarów dochodu, t. j. renty.

5 razy 600 tysięcy — czyni trzy miliony. Jest to więc 7 procent od 100 milionów talarów. Stajemy więc teraz wobec pytania, czy Prusy, we własnym interesie i w interesie całych Niemiec nie mogą wyłożyć te 100 milionów talarów, aby nabyć za to dobra z rąk polskich — jednem słowem, aby *„wywłaszczyć“* polskich właścicieli ziemskich.“ (expropriieren).

I jakiż skutek uwieńczył te plany, tak zuchwałe, świadomie *depczące poczucie równosci wobec prawa?* — tak cynicznie proklamujące zasadę *wydziedziczania!*

Pierwsze sto milionów przyszło, druga setka się kończy — a przecież dziś społeczeństwo polskie w Poznańskiem na silniejszych opiera się podstawach, niż za czasów, gdy układano pierwszy projekt kolonizacyjny.

Czemu się to dzieje? Dlaczego mąż stanu tej miary, co Bismarck, takim był krótkowidzem wobec sprawy polskiej?

Ciekawą na to odpowiedź znajdziemy w jego własnych mowach. W sejmie pewnego razu, gdy mu przypominano, że Polacy krwi dużo pozwolili sobie utoczyć za wielkość Prus i Niemiec, rzekł:

„Zbytecznem byłoby dodawać, że pamiętamy dobrze to wszystko, jakiego Polacy, — pułk 18 — pod Düppel (1864) oraz V korpus we Francyi dali liczne przykłady. My o tem pamiętamy dobrze! Zbytecznem byłoby zresztą unosić się nad męstwem Polaków, jako żołnierzy. Pod Düppel i we Francyi leży w grobach na polu bitwy dużo, dużo kości polskich żołnierzy i chłopów.

Ale czyż szlachta polska w równej mierze jak i chłop, polski i polski mieszczanin, krew swą przelewała za dobro pruskiego państwa?

„Chłopa polskiego uważam za wiernego i oddanego Prusom całą duszą obywatela. Chłop polski nie chce wcale powrotu do niepodległej Polski i dlatego w ostatniej instancyi stoi wiernie przy swym pruskim królu i panu! Na niego chłop polski się nie skarży. My nie zabieramy mu jego mowy — chcemy mu tylko dać możność porozumiewania się po niemiecku i chcemy, aby rozpoznał te wszystkie korzyści, jakie mu przynosi należenie do Prus.“

Tak mówił książę Bismark przed 15 laty, gdy rozpoczynał erę praw wyjątkowych.

Co dziś widzimy?

Dziś chłop nasz, nasz robotnik i rolnik, nasz mieszczanin poznał dobrze *te korzyści,* jakie płyną z obywatelstwa pruskiego! Dziś on marszczy z przykrością brew na samo wspomnienie o tej krwi polskiej przelanej na polach zwycięztw pruskich — a nasz młodzieniec, idąc do wojska, odczuwa boleśnie *przymus,* który go — na czas krótki — wtłacza w mundur pruski.

A to przywiązanie do pruskiego króla i pana? — Zdziwiłby się Bismark, gdyby mógł ujrzeć te skutki swej polityki...

Parlamentaryusz.



„Dobrodziejstwa“ pruskie.

„Poziom kultury ludności polskiej pod rządem pruskim podniósł się w ostatnich czasach ogromnie i podnosi bezustannie; ale jest to wyłącznie zasługa rządu pruskiego i pruskich instytucyi państwowych, które od przeszło 100 lat formalnie obsypują ludność najrozmaitszemi dobrodziejstwami. A jak się Polacy rządowi pruskiemu odwdzięczają za to?“

Z takiemi twierdzeniami spotykamy się dzisiaj w prasie niemieckiej niemal codziennie, mianowicie, prasie hakatystycznej. Słyszeliśmy je nawet z ust ministrów pruskich na trybunie sejmowej. A powtarzane bywają z taką uporczywością, mimo wszelkich dowodami popieranych zaprzeczeń ze strony polskiej, iż nie trudno domyślić się, jaki mają cel, jakie zadanie? Oto ci, którzy je wypowiadają, pragną niemi uśpić, uspokoić sumienie w narodzie niemieckim, sumienie, które jednak mimo wrodzonego Niemcom samolubstwa mogły by się wreszcie wzdrygnąć i odezwać wobec krzywd, wyrządzanych Polakom; pragną ubić niemi wszelkie skrupuły etyczne, uzasadnić politykę antypolską — no i Polaków przedstawić jako stronę winną. A może też łudzą się nadzieją, że osłabią, zmniejszą niemi energią odporną ludności polskiej? Bo gdy się pokrzywdzonemu bezustannie wmawia, że sam winien swej niedoli — w końcu uwierzyć w to gotów, chociaż najmocniej był przekonany, że tak nie jest.

Aby tedy pokrzyżować te podstępne usiłowania i zamiary naszych najserdeczniejszych, z jednej strony wykazać ich zupełną bezpodstawność, a z drugiej utwierdzić się w przeświadczeniu, że nie

mamy powodu do najmniejszej wdzięczności względem rządu pruskiego, musimy i my bezustannie uprzytomniać sobie i powtarzać owe rzekome „dobrodziejstwa“, jakiemi nas „obsypywano“... Były one przecież tego rodzaju, że stali i stoją nam *kością w gardle*, że dawno bylibyśmy pod ich ciężarem zmarnieli i zaginęli, gdyby nie pomoc i łaska Boska no i wielka nasza siła żywotna.

Doznaliśmy już od was, panowie Prusacy, dobrodziejstw aż nadto, zanim jeszcze zabraliście nam naszą wolność, naszą niepodległość. Jeszcze przed rozbiorem Polski wojska wasze — podczas wojen ślązkich, w czasie pokoju, wbrew wszelkim prawom międzynarodowym wkraczały na ziemię polską, porywały mężczyzn w rekruty, zabierały żywność — płacąc za nią... fałszywą monetą — jeśli wogóle uważały za potrzebne „płacić“. A potem spadło na nas największe z ręki waszej „dobrodziejstwo“, bo oto rozebraliście *Ojczyznę* naszą, oderwaliście nas od reszty narodu, od braci i wbrew naszej woli przykuliście nas siłą przemocy do waszego państwa. Zabraliście nam Ojczyznę właśnie w chwili, gdy po długich latach niemocy sama zerwała się do naprawy swego wewnętrznego ustroju, do odzyskania dawnych sił i dawnej świetności. Twierdzicie, że była to wtedy pustynia niemal, wyniszczona, zubożała, anarchią zdewastowana ziemia. A jakże wyglądały wasze kraje po wojnie trzydziestoletniej? A właśnie taksamo, jak one wkrótce się podniosły i zazieleniły dzięki energii mieszkańców, byłaby się odrodziła ziemia polska własnemi siły ludności. Zanim jeszcze ośmieliliście się sięgnąć ręką po gród Przemysława, już w nim polska komisya porządkowa zacierała ślady obcych — po części najazdów, wznosiła z gruzów domy, starała się o dobrobyt mieszkańców. Najmniejszej też nie ulega wątpliwości, że gdybyście byli nas wtedy pozostawili własnym losom, własnym zabiegom, ziemia polska rychlej już byłaby zakwitła ekonomicznie i kulturalnie, byłoby się przez te sto lat posunęła dalej — niż pod waszą „opieką.“

Czyście nam wogóle coś dali lub darowali? Nic zgoła! Ani jednego nakładu nie pokryliście z własnej kieszeni, boć zabraliście ogromne dobra zarówno rządowo-polskie jak i kościelne, dobra, których wartość wynosi dziś *miliardy*. A po za tem, ludność sama poczynione dla jej dobra wydatki spłacać musiała — wysokiemi *podatkami*. — To co nazywacie dobrodziejstwami, było tylko prostym *obowiązkiem* rządu i każdy inny rząd, a więc także własny *polski*, to samo byłby zrobił, a zapewne więcej, bo niebyłby ogromnych majątków rozdał niemal darmo faworytom swoim, jak to wasz rząd uczynił, lecz byłby je obrócił i zużył na dobro kraju. O ile lepsza i bogatsza w owoce była np. gospodarka rządu polskiego Królestwa kongresowego w latach od r. 1815 do 1830! Wasze rządy w tym okresie czasu z tamtejszemi *ani w przybliżeniu równać się nie mogą*.

Ale chociażbyście uczynili niejedno dla ziem zagarniętych, to nigdy przenigdy nie byłoby to nam wynagrodziło ogromnej krzywdy, jaką był dla nas rozbiór Ojczyzny naszej. Tej krzywdy nic zgoła powetować nie może.

Później zaś jakże to o nasze staraliście się dobro? Zamiast o tem myśleć i nad tem się zastanawiać, wasi wielkorządcy i jenerałowie, Flottwelle i Grolmany — łamali sobie jedynie głowy, w jaki sposob najrychlej nas zniemczyć, zabrać nam naszą narodowość, nasz język, skarby, które każdy naród ponad wszystko kocha i ceni. Nietylko zaś przemyśliwali nad tem, ale i czynnie dążyli do tego celu.

Nawet rozwój umysłowy, zaspakajanie potrzeb duchowych i żądzy wiedzy ludności utrudnialiście na każdym kroku. Ileż to razy prosiliśmy was o *uniwersytet* w Poznaniu! Spełniliście to żądanie? Bynajmniej! Przeciwnie, zmuszaliście i zmuszacie po dziś dzień młodzież polską, aby do was zawoziła krwawo przez ojców zapracowany grosz za naukę, aby najmniej młodzieńców mogło się kształcić, aby tam, w obcem otoczeniu odczuwała całą gorycz smutnego położenia swego.

A im więcej wam się szczęściło w polityce waszej, tem więcej *takich* spadało na nas „dobrodziejstw“. Mimo uroczystych przyrzeczeń królów pruskich — dążycie stale do zupełnego wytępienia naszego *języka ojczystego*. Dawno usunęliście go z urzędów, potem ze szkół. Wiedząc jaką siłą jest dla nas nasza *wiara katolicka*, rozpoczęliście i przeciw niej walkę zawziętą. Dla nas to, ze względu na nas, zawrzała „walka kulturna“, nam też najdotkliwsze, najboleśniejsze zadała rany. Kary więzienne na kapłanów i na tych świeckich, którzy śmiało bronili praw Kościoła — to dalsze „dobrodziejstwa“ wasze.

A potem, zanim jeszcze zamknęły się te rany, wysypaliście na nas pełną garść „dobrodziejstw“ nowych, stokroć srozszych. Za wiele było wam Polaków na ziemi polskiej, więc jednem pociągnięciem pióra *aż 40,000 opuścić musiało granice państwa pruskiego*. Czyście już zapomnieli, ile z powodu tego rozerwało się węzłów rodzinnych, ile nędzy, głodu i rozpaczy, ilu to potraciło mienie swoje, ile łez spłynęło, ile skarg i złorzeczeń wybiło się pod tron Boży? Myśmy nie zapomnieli jeszcze o tem *i nigdy nie zapomnimy*, o tych „dobrodziejstwach“ które *tysiącom zakrwawiły serca* i łzy gorzkie wycisły..,

Równocześnie ustanowiliście *Komisyą Kolonizacyjną*. To także ciekawe w swoim rodzaju dzieło „dobroczynne“. Za pieniądze państwowe, na które i Polacy składać się muszą, wykupujecie najlepszą ziemię, aby rozdawać ją za pół darmo pomiędzy was samych, pomiędzy Niemców... Wznieśliście tem demoralizacyą w szeregi nieopatrznej starszej braci naszej — a ludowi polskiemu raz na zawsze odbieracie możność nabycia chociażby kawałka tej wykupionej z rąk polskich ziemi. Co więcej, tworzycie komisye jeneralne i specyalne, rzekomo dla ogólnego dobra, a potem i te zamieniacie na instytucye antypolskie. Toć świeżo znów dowiedzieliśmy się urzędowo, że i najporządniejszy chłop polski nie może korzystać z dobrodziejstw tych instytucyi, tylko dlatego, że jest Polakiem; Polakowi i te instytucye nie sprzedają ziemi...

Polacy nie mają przystępu do *urzędów*, jeźli czują się Polakami; nie mogą nawet ciężką uczciwą pracą odzyskać chociażby cząstki z tych milionów, które rokrocznie opłacać wam musimy w formie ceł i podatków. Z milionów tych wspieracie młodzież niemiecką, wspieracie kupców i przemysłowców niemieckich — a nam ani feniga nie zwracacie w podobny sposób. To także... wspaniałe „dobrodziejstwo“.

Ale snać za mało było jeszcze tych „dobrodziejstw“ waszych, bo oto powstała *hakata* w tym jedynie celu, aby nas „dobroczynnością“ swoją zupełnie *zdławić*. I odtąd doznajemy jej tyle, że aż nam tchu braknie od samego — dziękowania wam za nią...

Dzieci — twierdzicie — nie należą do rodziców, jeno do *państwa*. Zabieracie je tedy na wyłączną swą własność i wychowujecie tak *„jak wam się podoba“* a nie tak, jak pragną rodzice. Już najmniejsze maleństwa po niemiecku modlić się mają do Boga — chociaż nie rozumieją — co mówią. A biada tym rodzicom i tym dzieciom, które ośmielą się opierać tej waszej „dobroczynności“. Dla pierwszych więzienia, dla drugich kij! Ani boleść rodziców, ani płacz dzieci bynajmniej was nie wzrusza. Pragniecie je uszczęśliwić wbrew ich woli — *po swojemu*; ale my *waszego* „szczęścia“ wcale nie łakniemy.

Nawet już publicznie po polsku odzywać się nie wolno, nie wolno obradować w polskim języku, Chociaż prawa wasze jeszcze nie zabraniają tego — zabraniają wasi urzędnicy, W więzieniu ojcowie i matki, w więzieniu młodzież akademicka, w więzieniu gimnazyaści, w więzieniu wreszcie i dzieci...

Oto wasze główne „dobrodziejstwa“, ile zaś codziennie sypie się z rąk waszych na nas mniejszych. drobnych i drobiazgowych w formie najrozmaitszych szykan i dokuczeń? Nie spisałby to nikt na przysłowiowej wołowej skórze. Wszystko co nasze, kole was w oczy, nasze *towarzystwa, nasze dobroczynne instytucye, zapał naszej młodzieży, adresy polskie, orzełki polskie i obrazki, modlitwy polskie, książke i pisma polskie*, a przedewszystkiem *nasz dorobek*. Wszystko wam jedno, żo to wprost *święta* nasza własność — bo w męce, w poniżeniu, w krwawym pocie i znoju, z wysiłkiem ostatnich sił w najtrudniejszych zdobyta warunkach. Na to nie zważacie wcale. Co w oczach innych narodów największą zaletą, w oczach waszych zbrodnią. Więc wytężacie wszelkie siły i sposoby, aby nam nawet ten znojny i krwawy dorobek utrudnić lub zgoła uniemożliwić.

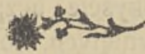
Sami unosicie się nad dźwiękami „Muttersprache — Mutterlaut“ — nam zaś naszą miłość do języka ojczystego poczytujecie za zbrodnię. Sami wielbicie waszą przeszłość, waszych bohaterów, waszych wieszczów — u nas to samo uważacie za zdradę stanu. Żyjecie w pełni swobód obywatelskich, — narodowych — nam ich zazdrościcie — nam je ograniczacie lub odbieracie. Nawet prywatnie nie pozwalacie uczyć się języka ojczystego i dziejów naszych oraz utworów naszych wieszczów...

Mamy się koniecznie wyrzec przeszłości i przyszłości naszej, łączności z braćmi po za waszemi granicami, matki Ojczyzny i języka danego nam od Boga. Ku temu zmierzają wszystkie wasze prawa i wszystkie wasze instytucye. A to — nazywacie — *dobrodziejstwami!*

Nie, panowie Prusacy, to dla nas najcięższe ciosy i krzywdy i za takie tylko — póki tchu w piersiach uważać je będziemy. *Po zatem zaś nic nam nie daliście, czegobyśmy wam stokrotnie nie byli zapłacili majątkiem dawnej rzeczypospolitej, podatkami naszymi i krwią przelewaną hojnie za waszą chwałę — za wasz tron pruski...*

My od was niczego nie żądamy, najmniejszego dobrodziejstwa, chętnie nawet jeszcze hojniej wam płacić będziemy za wszystko. Żądamy tylko, abyście uszanowali nasze prawa przyrodzone i nadprzyrodzone, nasze skarby, otrzymane od Boga, naszą wiarę, naszą narodowość, nasz język ojczysty. Żądamy nie *dobrodziejstw*, jeno *sprawiedliwości*, jeno poszanowania woli Bożej, jeno tego, abyście nam pozwolili *swobodnie* żyć jako *Polakom*; *swobodnie polskość naszą wyznawać*. Po za tem nic od was nie chcemy. Tego atoli domagać sie będziemy do ostatniego tchu — choćiażby najsroższe za to spaść miały na nas prześladowania.

Nie przechwalajcie się rzekomemi dobrodziejstwami, bo ośmieszacie się tem wobec Europy, bo mimowoli zdradzacie tem wasze samolubstwo, waszą małoduszność. Dajcie nam tylko *sprawiedliwość*, bo z dobrodziejstw waszych my rezygnujemy. *Narodowiec.*



Sprawa wrzesińska
przed forum parlamentu.

(Od naszego współpracownika umyślnie wysłanego do Berlina.)

Zainteresowanie się sprawą nadzwyczajne. Już na kwadrans przed rozpoczęciem interpelacyi trybuny widzów zapełnione. Wielu odchodzi, bo niema miejsca. W loży dyplomatów, bardzo dużo pań i panów — nawet w loży cesarskiej kilka osób, należących prawdopodobnie do cesarskiego dworu. O godzinie 1 wchodzi na trybunę marszałkowską marszałek Ballestem i sekretarze, wśród nich nasz poseł, p. szambelan *Cegielski*. Tymczasem zapełniła się też sala posiedzeń. Przez pewien czas panuje gwar tłumionych rozmów, wreszcie odzywa się dzwonek marszałka, zalega cisza, jakby makiem zasiał.

Zjawiają się pp. Bülow, hr. Posadowsky i Richthofen, oprócz nich wielu urzędników ministeryalnych i reprezentantów państw rzeszy. Gwar ucicha, nawet na ruchliwej trybunie dziennikarzy, puszczających w obieg różne wieści. Oto jedni szepcą, że wielu Polaków przybyło do Berlina, drudzy, że hr. Bülow milczeniem zbędzie interpelacyą. Inaczej jednak się stało. Na zapytanie marszałka odpowiada hr. Bülow donośnym głosem, że odpowie na interpelacyą natychmiast.

Wśród uwagi ogromnie wytężonej wchodzi na mównicę interpelant, książę **Radziwiłł**, pan w każdym calu, spokojny i pewien siebie — a po minie widać po nim, że ważnośó przedmiotu go przejmuje. Ton mowy poważny, ale i ogromne, serdeczne ciepło bije z niej, gdy mówi o jęku dzieci, o łzach matek wrzesińskich, które padły na wieniec chwały niemieckiej i do blasku jego mięszają promienie bólu i kir żałoby. Mówca skończył. Mowy słuchano w ogólnem skupieniu. Oklaski się rozlegają. Wstaje p. Bülow. Już z pierwszych słów można poznać, że to mówca z dobrej szkoły dyplomatycznej. Dla księcia Radziwiłła grzeczny i uprzejmy, szanuje znać w nim wysoką pozycyą towarzyską i to, że jest kuzynem królewskim. Głos Bülowa jest nieco skrzypliwy, ale donośny. Kanclerz niechce wdawać się w dyskusyą nad poruszonym przez księcia, jako reprezentanta Koła Polskiego, przedmiotem, ale mimo to z widoczną i ostentacyjną satysfakcyą daje wyjaśnienie, jak postąpiły rządy sąsiednich mocarstw wobec antypruskich demonstracyi. Czulej mówi o Rosyi i znać po nim, że z tym sąsiadem znacznie więcej się liczy, o Austryi mówi o pół tonu zimniej i z mniejszą czułością. Zapewnia Bülow, że opinia zagranicy nie wpłynie nigdy na bieg spraw niemieckich, że nic nie zmieni się w polityce antypolskiej, że on starać się będzie o to, *aby Niemcy na wschodzie nie dostali się pod koła polskości.* Skończył. Narodowcy niemieccy biją brawo, lecz słychać też sykanie. Bülow mówi okrągłemi, dobrze złożonemi zdaniami. Czyni to wrażenie czegoś ściśle sformułowanego, mimo to wszystko, co mówi Bülow, jest ogólnikowe.

W czasie mowy księcia Radziwiłła siedział Bülow prawie nieruchomy, ale po kilku nerwowych ruchach znać było, że wieść o jęku bitych dzieci nieprzyjemnie raziła jego nerwy. — Bülow powstał i wychodzi — za nim jego satelici, pozostaje kilku tylko reprezentantów państw rzeszy. Hr. Hompesch wnosi o dyskusyą, wniosek przyjęty. Mówi Roeren. Zasadniczy ton tej mowy to sprawiedliwość i żywe oburzenie na bezprawie. Po nim mówi Limburg Stirum. Mowa jest bez wyrazu, te same wytarte antypolskie frazesy i hypokryzyą pokryte zapewnienia, że konserwatyści nie chcą odbierać Polakom języka ojczystego. Na co to siebie okłamywać? My na te plewy nie pójdziemy. Z miejsca mówi p. dr. *Dziembowski.* Mowa ciepła, znajomość dokładna całej sprawy, — p. dr. Dziembowski był obrońcą dzielnym, — siła przekonania zawarta w mowie sprawia, że mowa olbrzymie robi wrażenie, przytem mówca włada językiem niemieckim doskonale. Wrażenie się potęguje podaną wiadomością o srogiem zajściu w Mamliczu. Gdy mówca powiedział: „W kilka dni po chłoście chłopiec umarł!“ *dreszcz grozy wstrząsa i posłami i audytoryum.* Poczem huczą długie oklaski.

Za mną odzywa się głos po niemiecku: „Takie sprawy byłyby w Paryżu zbudowały barykady!“

Ku mównicy zbliża się inna postać; twarz złośliwie wykrzywiona — przyroda naznaczyła tego człowieka, włożyła na niego stygmat odpowiedni złości. To osławiony *Sattler.* Wszechniemiecka żółć spływa na salę kipiącą i wrzącą kaskadą i gryzie i pali tak, że głuchy szmer oburzenia kilkakrotnie zagłusza mówcę. Zda się jadowite żmije rozpełzły się po sali, tu rzuca oszczerstwa na Polaków, tam jadowity ząb wpaja w centrum

tam znów utnie złośliwie jak osa socyalistów. Jak salamandra w ogniu, tak on się kąpie w jadzie własnej żółci. Ten człowiek z wykrzywioną twarzą niezmiernie przykre pozostawia wrażenie, on jeden ma też odwagę bronić Wintera i Koralewskiego. Charakteryzuje to dostatecznie grunt duszy tego człowieka. Wrażenie przykre zaciera się pod ciepłem słów Ledeboura, socyalisty. Mówca nicuje mowę kanclerza, Limburga i docina Sattlerowi, mówiąc: wszyscy szowiniści to „Radaubrüder". Z ogromnem przejęciem mówi o sprawie wrzesińskiej, z oburzeniem o wyroku. Mówca rozgrzewa się stopniowo, fanatyzm przekonania daje mowie jego porywającą siłę. Na ławach socyalistów huczą gromkie brawa. Znać zadowoleni są z towarzysza, nienawidzącego hakaty wściekłość. „Oto — mówi — przypominają się zamierzchłe wieki. „Flagelanci, pijani szałem powstają z grobów!" — Pieczętuje mówca wyrok na Hakatę oświadczeniem, *że jej polityka zbankrutowała zupełnie.* — Akt wstępny zamknięty, końcowy rozegra się po Nowym Roku.

Wszyscy wychodzą z przekonaniem, że padł tu potężny, druzgoczący wyrok na system antypolski. *Duch pruski zawstydzony opuszcza salę, — duch polski, poparty duchem ludzkości, odniósł tryumf.*

Widz.



Józio Hetman.

Na cichym wiejskim cmentarzu — przybyła znowu skromna chłopska mogiłka, — jedna z tych mogił, z których codzień duch potężny zmartwychwstaje i przez świat idzie jak objawienie. — Te mogiły nasze i cmentarne krzyże to nieme pomniki, które żywe stoją w pamięci narodu, jak przewodnie gwiazdy, — które nas budzą z uśpienia i obojętności. I te dzieci małe i kobiety słabe, te ofiary żywe narodowego odrodzenia, — one, w jednej magicznej chwili przedzierzgną się w świętości narodu i dołączą nazwiska ich do ogromu narodowych haseł. —

Dziś do narodowego skarbca, w którym tyle bólów i drogich złożyliśmy pamiątek, kładziemy imię nowe. — Serce przejęte bólem zdobyć się nie może na gromkie słowa oburzenia, oddech tamuje łzy, ręce składają się jak do modlitwy, i gubimy wzrok w niebiosach i szukamy w nich Boga, który stworzył potężnych i słabych, i przemoc i świętość, który powiedział, że włos nie spadnie z głowy niczyjej bez woli Jego. Boże, który patrzysz na mogiły nasze! Wiara w sprawiedliwość Twoją, która złość wszelką upokorzy, umacnia dusze nasze i czyni z nas niepokonanych. Bez woli Twojej nie spadnie włos z niczyjej głowy... więc gdy zło przebrało już tę miarę, którą serca nasze przetrwać zdolne, — wierzymy, że wielkie są cele, które nam przeznaczasz, doświadczając nas tak bez miary.

A teraz niech mówi nagi fakt:

„Chłopiec 13-letni, Józef Hetman z Będzitowa — piszą do „Dzien. Pozn." — uczęszczał do szkoły w Mamliczu. W czwartek 28 listopada zdrów poszedł razem z drugiemi dziećmi o godzinie 7 rano do szkoły. Na rozkaz nauczyciela (Niemca) Papla miał czytać po niemiecku. Nie umiał jednego słowa przeczytać, wtedy nauczyciel zaczął okładać go prętem po ręku; chłopiec po trzeciem uderzeniu rękę cofnął; wtedy nauczyciel chwycił go za kark, zaczął okładać kijem po plecach i tylnej części. Po skończonej operacyi nastała dla dzieci szkólnych pauza. Nauczyciel kazał dzieciom wyjść ze szkoły, Hetmanowi zaś rozkazał pozostać w klasie.

W tym czasie poszedł do starszego nauczyciela Wieczorowskiego po klucz od szafy umieszczonej w klasie, wyjął z niej, (jak dzieci nazywają) dyscyplinę i na nowo zaczął nią okładać Hetmana. Kiedy skończył, przyszedł do klasy drugi nauczyciel, nazwiskiem Glacer (Niemiec, nauczyciel 3-ci) miał mieć jeografię i znów powołał do mapy Hetmana. Chłopiec ten, który ze względu na ból zębów przez dwa dni nie był w klasie, nie umiał nazwać rzeki Warty. Wtedy Glacer uderzył go w twarz, rzucił na ławkę, przycisnął kolanem na plecy, zaczął go okładać kijem, a plag, jak świadkowie zeznają, odebrał co najmniej 10. Bity chłopiec wysunął się nauczycielowi z pod nogi, a wtedy nauczycicl zawołał 4 uczniów; Hetmana kazał rozciągnąć na ławie, przycisnął znów kolanem do ławy i okładał dalej. Chłopiec w ten sposób zmaltretowany wyszedł z klasy, i w tej chwili dostał silnych womitów, które z małemi przestankami nieopuściły go aż do śmierci.

O godzinie mniej więcej 4-tej po obiedzie wrócił (czyli przywlókł się za pomocą kolegów) do domu. Rodzice pobitego chłopca zażądali doktora dopiero w niedzielę, a gdy ten przybył. skonstatował silne zapalenie ślepej kiszki. Z poniedziałku na wtorek w nocy zażądano księdza, który przybył, a umierający przyjął Sakramenta święte. We wtorek o 4 rano w boleściach okropnych zakończył Hetman życie.

W imieniu rodziców wysłano natychmiast skargę do nadprokuratoryi w Bydgoszczy, na rozkaz której przybyli: z Inowrocławia radzca sądowy, lekarz i tłomacz, ze Żnina drugi lekarz (ani jeden (ani drugi nie jest fizykiem powiatowym), wykonali sekcyą i oświadczyli, że zeznania swoje odkładają na później, ponieważ znaleziono w żołądku zmarłego przedmiot twardy, podobny do pestki!!!

Następnie dzieci szkólne czyli naoczni świadkowie i rodzice zmarłego zostali przesłuchani przez sędziego." *X.*





Z TYGODNIA.

Gorąca, zacięta walka toczyła się w przeszłym tygodniu w parlamencie niemieckim, walka o nową taryfę celną czyli właściwie o *wyższe cła zbożowe.* Przemawiali mówcy z każdego stronnictwa, z większych nawet po kilku a przeciwne zdania ścierały się bardzo ostro. A jakkolwiek projekt rządowy w końcu odesłano do komisyi, która ma zbadać każdą jego pozycyą i poczynić w nim ewentualne zmiany, to walka przez to bynajmniej nie ustała, lecz toczy się dalej w prasie i na zebraniach. W parlamencie zaś zawrze na nowo, gdy projekt wróci z komisyi.

W ubiegły poniedziałek w parlamencie niemieckim miała miejsce interpelacya Koła polskiego w sprawie wrzesińskiej. Stało się to, co wszyscy przewidywali: Niemieccy ministrowie wywinęli się sianem i „urzędownie stwierdzono" przez gładziutkie usta kanclerza Bülowa, że w Prusiech żadne barbarzyństwa się nie dzieją, że to kraj wysokiej kultury i t. d. — zresztą poświęcamy tej sprawie osobny artykuł, w którym nasz współpracownik, umyślnie w tym celu do Berlina wysłany, opisuje obszernie przebieg tego posiedzenia parlamentu.

Z zadowoleniem witamy inną wiadomość z *Wiednia.* Oto Koło polskie wzniosło bardzo obszerną i energiczną interpelacyą w sprawie *Morskiego Oka.* Miejmy nadzieję, że ta interpelacya zdoła nareszcie ważną tę sprawę wprowadzić na dobrą drogę i że powiedzie się w końcu

odzyskać piękny kawał naszych Tatr, wydarty nieprawnie przez rząd węgierski.

Sejm pruski zbiera się już dnia 8 stycznia. Między innemi zażąda rząd od sejmu w tej sesyi dalszych 300,000 M. *na popieranie niemczyzny we wschodnich dzielnicach.* Kwota ta ma być zużytą na wspieranie *ewangelickich* kościołów, aby protestanci niemieccy u nas nie *płacili za wysokich podatków kościelnych.* I w tej kwocie mieści się znaczna suma *polskich* podatków. Ciekawiśmy, czy prasa niemiecka i ten wydatek naliczy do *dobrodziejstw*, wyświadczanych... *ludności polskiej?*

Owego krzykacza *Wolffa*, który to z powodu zajść skandalicznych zniewolony był złożyć mandat, wyborcy jego podobno opuścić niechcą, lecz zamierzają go wybrać ponownie. Zaleca to także cała prasa hakatystyczna. Są gusta i guściska, to prawda, ale gustowanie w tego rodzaju wyrzutkach społeczeństwa, jakim zaprezentował się całemu światu pan Karol Hermann Wolff, rzuca ciekawe światło na „zasady“ i pojęcia moralne naszych najserdeczniejszych.

W parlamencie *francuskim* ciekawe rozegrało się zajście. Oto jeden z posłów, żyd *Massabaua*, zaproponował ni ztąd, ni z owąd, ażeby Francya zapomniała o klęsce roku 1870/71 i starała się zawrzeć przymierze z *Niemcami!* Większość posłów w pierwszej chwili osłupiała wobec tej... śmiałości żydowskiego „patryoty“ francuskiego, wnet atoli zerwała się prawdziwa burza protestu. W polityce o niejednem zapomnieć trzeba, ale o pogromie, jaki spotkał Francyą w tym pamiętnym roku — zapomnieć trudno. To też podobna propozycya wyjść mogła jedynie od żyda, mierzącego nawet patryotyzm łokciem osobistych korzyści. W Niemczech wywoła ta propozycya żywe zainteresowanie. Piszą o niej zwłaszcza żydowskie dzienniki obszernie i tłomaczą, że przecie przymierze takie byłoby bardzo korzystnem dla obu stron. Syrenie te głosy nie znajdują jednakże echa po stronie Wogezów. Jak świat światem — odpowiada na nie narodowa prasa francuzka — nie będzie Niemiec Francuzowi bratem. My, którzy również tak dobrze poznaliśmy Niemców, dziwić się temu chyba nie możemy...

Parlament *francuski* uchwalił znaczną większością głosów zaciągnięcie nowej pożyczki na koszta wyprawy chińskiej i to ściśle wedle projektu rządowego. Pozycya ministerstwa pana Waldeck-Rousseau znacznie się znów przez to wzmocniła. Z tej pożyczki otrzymać mają wynagrodzenie także poszkodowane podczas rozruchów w Chinach zakony i osady misyonarskie. Aby przeszkodzić temu, ogłosili masoni i socyaliści podczas obrad nad projektem pożyczki jakieś rzekomo tajne sprawozdania i inne dokumenty, oskarżające misyonarzy francuzkich w Chinach, mianowicie biskupa Favier, iż po zajęciu Pekinu przez wojska mocarstw dopuszczali się rabunku na wielką skalę. Wiedząc, gdzie bogaci kupcy chińscy przechowują swe srebro, przywłaszczyć sobie mieli rzekomo bajońskie sumy. Są to naturalnie kłamstwa i oszczerstwa, aleć nie zabraknie takich, którzy im uwierzą. Najlepsze to, że w dyskusyi nad temi rzekomemi rewelacyami w prasie dowiedziano się, iż po zdobyciu Pekinu plądrowali tam nawet wysocy dygnitarze europejscy, członkowie ambasad, a z pewnej ambasady, której dyskretnie nie wymieniono, nawet... trzy *panie!* I dziwić się tu, że Chińczycy coraz bardziej brzydzą się kulturą europejską, skoro w takiej prezentuje im sie postaci!

Kujawiak.



PRZEGLĄD PRASY.

Sprawa wrzesińska zawsze jeszcze odbija się głośnem echem w prasie europejskiej — bo coraz to nowego wątku dostarczają jej zajścia i objawy, wywołane wyrokiem gnieźnieńskim w całej słowiańszczyźnie. Prasa polska w zaborze pruskim zamknęła na razie, że się tak wyrazimy, generalia tej sprawy, omówiwszy ją i oceniwszy należycie i dziś zbiera jedynie pokłosie, jako cenny materyał dla posłów naszych. Dowiadujemy się tedy dokładnie, jaką to ogromną ilość „łap“ i plag wymierzono biednej dziatwie wrzesińskiej, że nauka religii dalej tam udzielaną bywa w języku niemieckim, że jednak dzielne dzieci i teraz nie dawają odpowiedzi w tymże języku — a wreszcie, że główna ofiara zajścia, nieszczęśliwa *Piasecka*, ciężko zaniemogła po wstrząsających przejściach procesu i pobycie w celi więziennej. Miejmy nadzieję, że Bóg zachowa ją jeszcze przy życiu, bo to życie potrzebne bardzo dla sędziwej matki i licznego grona dzieci. Społeczeństwo nie zapomni o nich, aleć opieki matczynej nic chyba zastąpić nie zdoła. Wiadomo, że pan prokurator gnieźnieński, gdy kołatano do niego o wypuszczenie biednej kobiety z więzienia za kaucyą — odpowiedział, że ona tylko *„udaje“* chorobę. Oby tedy śmierć jej nie zaciężyła mu na sumieniu!

Sprawa wrzesińska wogóle dużo dobrego nam przyniosła. Gdyby nie ta sprawa, zapewne i dyskusya nad reformą „Koła“ nie byłaby zatoczyła tak wielkich kręgów i nie stała się tak aktualną; zresztą i na innych polach widać ruch bardzo ożywiony. W *Kirchlinde* w *Westfalii* odbył się w ubiegłą niedzielę *wiec*, na którym zajmowano się także sprawą braku opieki duchownej, trzeźwości i oszczędności, a także *sprawą wrzesińską.* Odnośnie do niej takie według „Wiarusa“ powzięto rezolucye:

„1) Rodaczkom i rodakom z Wrześni, zasądzonym w ostatnim procesie, wyrażamy nasze najszczersze współczucie.

„2) Pretestujemy przeciw zmuszaniu dzieci polskich do nauki religii w języku niemieckim, a protestujemy podwójnie przeciw zmuszaniu ich za pomocą kar cielesnych.

„3 wobec dążności zmierzającej do zgermanizowania Polaków, *postanawiamy tym dążnościom przeciwdziałać i to szczególnie przez to, że w domu pracować gorliwie będziemy nad wychowaniem dzieci na dobrych Polaków i katolików.*

„4) Wszystkich, którzy pozwalają się swym dzieciom niemczyć, potępiamy jaknajsurowiej i wyrażamy im największą *pogardę.*

„W końcu zaprotestowano przeciw twierdzeniom „Germanii“ i innych gazet niemieckich, jakoby Polacy byli „katolikami mniejwartościowymi.“ W celu zachęty do uczenia dzieci polskiego czytania, rozdał „Związek“ bezpłatnie pomiędzy ojców rodzin polskie elementarze.“

O lepszą opiekę duchowną walczą także bracia nasi w *Berlinie.* I tam odbył się przed tygodniem wiec, na którym zastanowiano się, co czynić wypada, ażeby nakłonić władzę duchowną do udzielania dzieciom polskich rodziców nauki przygotowawczej do Sakramentów Świętych w języku *polskim.* Wiecowi przewodniczył zasłużony obywatel około sprawy polskiej, pan *Berkan.* O przebiegu wieca donosi „Dzien. Berl.“ co następuje:

„Po zagajeniu udzielił przewodniczący głosu p. Wróblowi do sprawozdania o przyjęciu delegacyi u delegata biskupiego ks. Neubera. Deputacya wręczyła ks. delegatowi 120 podpisów ojców dzieci, które na Wielkanoc przyjęte być mają do spowiedzi. Przedstawiając życzenia ojców, kładła komisya głownie na to nacisk, że dzieci nauki w niemieckim języku dostatecznie nie rozumieją, dlatego rodzice polscy proszą władzę duchowną, aby dzieciom ich udzielano prawdy wiary w języku polskim.

„Ks. delegat nie odmówił z góry naszym życzeniom, lecz przyrzekł sprawę zbadać. Wyrażał swe nieukontentowanie na prasę polską, która rzekomo obelgami (?) obrzuca nawet biskupów. Polacy są bezwzględni (?) w swych żądaniach. Na wszelkie podobne wywody odpowiedziała komisya, że *Polacy zawsze chcą być posłuszni władzy kościelnej, lecz nie mogą dopuścić, aby Kościół także przykładał ręki do germanizacyi.* Na to, aby nauczyciele religii rozstrzygali o tem, które dzieci miałyby w danym razie pobierać polską naukę, Polacy się nie zgadzają. Tu rozstrzygnąć powinna wola rodziców.

„Ks. delegat, zapewniszy delegatów o swej bezstronności, zapewniał ta kże, że kościół zawsze ma na oku dobro wszystkich katolików bez wyjątku i Polacy mają wierzyć, że sprawę dobrze zbada i co będzie mógł, uczyni.

„Na tem skończyło się posłuchanie. Od czasu rozmowy z ks. delegatem upłynęło już kilka tygodni, a jeszcze odpowiedzi niema. Rodzice polscy powinni, nie czekając ne odpowiedź, sami na wła-

sną rękę stanowczo domagać się o to u proboszczy swoich, a w razie odmowy nie posyłać na razie dzieci na naukę przygotowawczą w języku niemieckim.

„Następnie zabrał głos p. *Berkan* i w długich wywodach wykazywał konieczność jak największej stanowczości. Niema wątpliwości, mówi, że jeżeli wytrwamy, osiągniemy cel pożądany. Księża niemieccy nie chcą nas, jak się zdaje, zrozumieć. My twierdzimy, że prawdy wiary tylko w języku ojczystym wpojone mogą nas w wierze ustalić, my chcemy, aby dzieci nasze w rodzinnej mowie się modliły, a oni uczą, że to niepotrzebne. Nie mogą pojąć, że my mimo tego, że mieszkamy w Berlinie, chcemy pozostać Polakami Na odpowiedź delegata byliśmy przygotowani.

„Przemawiali jeszcze pp. *Janiszewski, Zwierzycki, Łowiński, Gulcz, Dworkowski, Kossowski i inni.*

„Zebranie przyjęło w końcu następującą rezolucyą:

„Zgromadzeni na wiecu w pierwszą niedzielę adwentu rodzice polscy katolicy nie zgadzają się na orzeczenie ks. delegata, iżby nauczyciele religii decydowali, w jakim języku nasze dzieci przygotowywane być mają do pierwszej spowiedzi św., gdyż jedynie rodzice mają prawo o tem rozstrzygać. Stanowczo domagają się, aby ich dzieci na życzenie przysposabiano w naszym ojczystym języku polskim.

„Powierzono tej samej deputacyi zakomunikowanie władzy duchownej treści rezolucyi i uchwał zebrania.“

Wiadomo, że składki dla rodzin ofiar wrzesińskich, napływające tak hojnie ze wszystkich stron Słowiańszczyzny, mianowicie zaś z Galicyi, bardzo kolą w oczy hakatystów i ich prasę. „Tageblatt“ poznański oraz inne podobne mu „blatty“ poruszyły nawet myśl, czyby składek tych nie szło *skonfiskować.* Najbardziej zaś gniewa klikę hakatystyczną to, że w wiecach i składkach na rzecz ofiar biorą udział także wysocy urzędnicy austryaccy, np. minister dla Galicyi *dr. Piętak.* Na to — wołają — rząd austryacki nie powinien pozwolić. Lojalniej postąpił wobec Austryi czasu swego rząd *włoski*, który zmusił do ustąpienia ministra za to, że tenże brał udział w zebraniu antiaustryackich Irredentystów włoskich. Na to odpowiada trafnie krakowski „Głos Narodu:“

„Porównanie to przewrotne, gdyż świadomie fałszywe. Irredentyści są stronnictwem, dążącem do oderwania siłą od Austryi prowincyi, zamieszkałych częściowo przez ludność włoską. Są więc stronnictwem *zaczepnem*, jawnie na całość naszej monarchii dybiącem. Rzecz jasna, że polityk, należący do manifestacyi takiego stronnictwa, nie może należeć do gabinetu państwa, które pozostaje z Austryą w przymierzu.

„Ofiarowanie składek na rzecz dzieci, matek i ojców, którzy mają przed sobą paroletnie więzienie, dzieci bez opieki, bez chleba, takie ofiarowanie *nie jest aktem wojowniczym i zaczepnym. Miłosierdzie nakazuje Pismo Święte*, to samo Pismo Swięte, z którego sędziowie gnieźnieńscy usiłowali koniecznie zaczerpnąć argumentów ku usprawiedliwieniu swego wyroku. Jeżeli się zbiera pieniądze na dzieci chińskie i murzyńskie, to tem bardziej chrześcijańską i humanitarną jest składka na osieroconą dziatwę europejską, dziatwę tej samej narodowości.

„A okoliczność, że się jest c. k. ministrem austryackim, nie zakazuje nikomu, wyzbyć się zasad chrześcijańskich i narodowości polskiej. Za taką cenę, — za cenę odstępstwa chyba niema nikogo między nami, który zdecydowałby się wsunąć szyję w zahaftowany złotem kołnierz ministra.

„Przyznajemy otwarcie, że jeszcze do wczoraj byliśmy zdania, iż Galicya potrzebowałaby obecnie energiczniejszego przedstawiciela w radzie korony, niż dr. Piętak. Lecz obecnie uważamy za punkt honoru narodowego utrzymanie jego ekscelencyi na stanowisku ministra i spodziewamy się, że Koło polskie poczyni wszystkie kroki — w razie potrzeby — celem przyjścia panu ministrowi z pomocą.“

Na zakończenie przytaczamy — wprawdzie nie głos „prasy“ ale głos *kultury dzisiejszej.* Oto w *Kamerunie* niemieckim skazano trzech kupców niemieckich na kary więzienia za następujące *„kulturalne“* czyny: *Wollenberga* za wbijanie murzynów na pale, na 5 lat ciężkiego więzienia, *Keltenicha* za to, że *oblewał murzynom ręce naftą i następnie je zapalał*, na trzy lata ciężkiego więzienia; wreszcie *Hoeslopa* za to, że jednemu z przywódzców murzynów wybił batem oko, na ośm miesięcy więzienia.

O ile ciężej ukarano biednych ojców i matki *wrzesińskie* za to — że nikomu krzywdy nie wyrządzili a jeno bronili własnych dzieci przed chłostą.

B. M.



Z NIEMIEC.

Bottrop w Westfalii, 10 grudnia.
(Odprawa redaktorom górnośląskim.)

Pozwalam sobie zapytać Cię, Szanowny Redaktorze, co się stało z korespondencyami, któreśmy do Ciebie wysłali, a które zawierały nasze protesty z odpowiedzią na napaść, jakiej dopuściły się na Tobie i wydawcy „Pracy“ gazety górnośląskie. Przykro mi, że znów Was trudzę, ale inaczej sobie postąpić nie mogę. Odpowiedziały już na tę napaść pisma dwóch zaborów polskich, ale i my Górnoślązacy w Westfalii milczeć żadną miarą nie możemy. Nie mieszkamy tu w świecie deskami zabitym, mamy tu nieledwie wszystkie gazety w kraju ojczystym wychodzące, więc wiadomo nam, co się tam u Was dzieje. Ja i ci, w których imieniu piszę, prosimy i żądamy, ażeby te wspomniane nasze korespondencye Szan. Redakcya wydrukować kazała.

Milczenie Wasze naprowadza nas na domysł, że nosicie się z myślą przebaczenia winy przeciwnikom. My innego jesteśmy zdania. Z przeciwnikiem, który godzi na nasze życie, trudno się układać, trudno mu winę darować. Bronić się więc trzeba, a najlepszą tu bronią jest wykazanie wszystkich niedorzecznych twierdzeń przeciwnika, zawartych w jego zdaniach i słowach, takich, jakie wyjść jedynie mogą z ust nieokrzesanego wychowaniem człowieka.

Wasi przeciwnicy raz piszą, że „Praca“ jednę nogę, drugi raz, że dwie nogi utraciła. Suchy to dowcip, a nie mógł on powstać w głowie, mającej, jak to mówią, nieco w sobie oleju. Zazdrość złym jest doradzcą, zazdrośnik puszcza się na dowcipy, które nie tylko już oleju, ale nawet sensu nie mają. Ci to zazdrośnicy dopatrzyli się w „Pracy“ jakiejś chwiejności, gdyż twierdzą, że taż „Praca“ ma niby to pisać, że Slązk jest albo odrodzony, albo nieodrodzony. O kulawa logiko, oparta na gruncie zawiści i chęci obałamucenia czytelników.

Że Slązk nie jest całkiem odrodzony, to już wasza wina, wy żyjącym jesteście tego dowodem, panowie zazdrośnicy! Niedorzeczność odezwy waszej wykazały już wszystkie pisma szczero - polskie w Król. Polskiem, w Galicyi i dzisiejszej Wielkopolsce pod zaborem pruskim, a wykazały już to w sposób poważny, już to szyderczy.

My tu Górnoślązacy w Westfalii, zapytujemy Was z swej strony, któż to zaczął Slązk odradzać? — czy inteligencya, złożona z tych korpulentnych panów centrowców czy wy? To doprawdy śmiechu warte! Na co tych Slązaków oświecać, powie p. Napieralski. Czy na to, żeby mi potem w „Pracy“ poznańskiej robili wyrzuty, że mnie matka nie porodziła w Bytomiu, zamiast pod Sremem i naigrawali się ze mnie podrobionego Slązaka? Tak, panie Napieralski, to jeszcze nie koniec, jeżeli nie przestaniesz twej zawistnej i nielogicznej odezwy sztucznie podtrzymywać. Źle się bawicie, panowie z „Katolika“ i dwóch waszych towarzyszy prasowych. My tu czytujemy obók górnośląskich pism już blizko 5 lat „Pracę“ z małą przerwą, która ani razu nie zapadła przez ten czas na febrę konkurencyjną, mimo strat pieniężnych, aresztowań redaktorów i t. d.

„Praca“ stoi, jak mur, rośnie liczba jej abonentów, a teraz pokazuje nową siłę, dając Górnemu Slązkowi nową gazetę. „Praca“ ma taki silny zastęp dzielnych ludzi, że wam on jeszcze panowie z „Katolika“ kością stanie w gardle. Poznacie wy przy odbiorze prenumeraty, co to znaczy napaść na „Pracę.“

My Górnoślązacy wstydzić się musimy za was przed drugimi czytelnikami „Pracy.“ Ku ulżeniu naszego bólu i wstydu niechaj służy to, że my jesteśmy prawdziwymi, prawymi Górnoślązakami, podczas gdy wy jesteście tylko podrobionymi. Jeżeli się oderwiecie od fartuszka matki centrowej, darujemy wam winę, wszystko pójdzie w niepamięć. Niechaj tedy p. Napieralski powie: mea culpa, i to prędko, gdyż im głębiej w las pójdziecie, tem na głębsze natraficie kolce. „Praca“ niedała nikomu powodu do haniebnej napaści, a co teraz pisze, to jedynie we własnej obronie i najświętszych ideałów.

Przyjmij, kochana „Praco“ nasze bratnie pozdrowienie i zapewnienie, że szczerze stać będziemy przy Twym sztandarze.

Wędrowiec.



Wyrok przeciwko Dr. Rakowskiemu poruszył do głębi całą prasę i cały ogół polski. Wszystkie pisma poświęciły skazańcowi całe łamy przychylne i pełne serdecznego współczucia. Inaczej atoli „Dziennik Pozeański“. Lecz cóż dziwnego, że i „stary przyjaciel“ p. Dr. Łebinski z „Dziennika“ się odezwał będąc pewien assysty p. Dr. Szymańskiego i p. Knapowskiego z „Postępu“. Przecież p. Dr. Łebinski miał oddawna nieskwitowane obrachunki z p. Dr. Rakowskim. Dziś, gdy więzień za kratami, dziś zdaniem p. Dr. Łebińskiego był najdogodniejszy czas, by na skazanego, który odpowiedzieć nie może — by w tej chwili wylać na Dr. Rakowskiego cały jad nienawiści i zemsty grzesznej. To też temu odpowiednio p. Dr. Łebinski

Przemówił znowu...

I przemówił znowu mąż „wielki, doskonały“, „mąż najszlachetniejszych porywów, myśli i uczuć“, przemówił mąż „stanu“... I cóż znaczy odezwa Sienkiewicza, cóż znaczy muzyka choćby takiego Paderewskiego — wobec słów, które rzuci sam „naczelny“ od „Dziennika Poznańskiego“? Lecz sza! „On“ przemówił a lud winien posypać głowę popiołem — i ustąpić... Winniśmy ustąpić wobec złotoustych słów p. dr. Łebińskiego, winniśmy ustąpić wobec męża, któremu, jak wszyscy wiedzą — obrzydłą jest „nienawiść i fałsz“, którego „serce gołębie“ nie zna „żółci ani jadu“;... któremu „obcą jest mściwość wszelka“. — Lecz niech mówi ten mąż „sprawiedliwy,“ niech on mówi — a ty narodzie słuchaj!

Rozprawy się skończyły, wyrok zapadł...

W tej chwili powstał „On“, wielki, nieskazitelny i nieomylny! Okadziwszy trójnóg „Dziennika Poznańskiego“ kadzidłem własnej chwały, rzekł p. dr. Łebiński z namaszczeniem wielkie słowo: „Res sacra — miser“ — nieszczęście uszanować i współczuć się godzi a dlatego wydaję wyrok taki:

„Skazani powinni byli uniknąć katastrofy, zupełnie niepotrzebnej i bezowocnej“, a że nie uniknęli, więc „obok dobrej niezaprzeczenie woli okazali bardzo mało kwalifikacyi do zadań podjętych“ i... „społeczeństwu przysługi nie wyrządzili“ (ma być pewno „wyświadczyli“)...

„Różne nauki możnaby z procesu wyciągnąć (pewno tak, jak psa za ogon się wyciaga?); ale zaiste powiadam wam, iż najważniejszą z różnych nauk, kwalifikujących się do „wyciągnięcia“, jest ta, że „nie każdy, pałający dobrą chęcią, już przez to samo powołanym jest do najtrudniejszych nieraz działań w życiu publicznem“. Potrzeba tych zalet i tych cnót, których arsenałem tak bogatym i nieprzebranym jest redakcya naczelna „Dziennika Poznańskiego“, „trzeba nauki rzetelnej, doświadczenia, taktu, zręczności, umiarkowania i wytrwałości w umiarkowaniu, roztropności“, no i zapewne innych przymiotów dodatnich, jako to skromność, bezpretensyalność i smak publicystyczny, zmonopolizowanych „przez jedyny organ poważny“...

Albowiem wiedźcie, ludy, tak mniej więcej głosił dalej mąż „wielki„ — wiedźcie, że w polityce najtrudniej rozpoznać to, w czem My, z Bożej łaski, mylić się nie możemy nigdy — oto „najtrudniej rozpoznać granice między tem, co czarne a co białe, między tem, co szlachetne a co nikczemne, co rozsądne a nierozsądne lub rozpaczliwe(!)“...

Niejeden zmęczyłby się już taką, jak powyższa, porcyą banialuk, a tymczasem On się nie zmęczył i zawyrokował dalej tak:

W tym labiryncie polityki, w którym My jedni, My z Bożej łaski na trójnogu, trzymamy w ręku nić Ariadny, „politycy — publicyści właśnie często i stale narażonymi są na zbłąkanie“; „dlatego podwójnie wystrzegać się powinni przedewszystkiem tego rodzaju manii wielkości, która każdego ochotnika piętnuje na męża stanu“, (podczas gdy zazwyczaj „piętnuje“ się łotrów i złoczyńców tylko), mężów stanu zaś chyba tylko w „Dzienniku!“

Po chwili, On Wielki i Nieomylny wyśrubował trójnóg jeszcze wyżej i rzekł: Skazanym przez trybunał pruski w Poznaniu — My „nie możemy przyznać palmy męczeństwa.“ Rzekł, jakkolwiek o przyznanie takie — na największej bibule w Poznaniu nikt zgoła nie prosił, a niejeden uważałby je może za upokorzenie dla siebie...

Naplótłszy tyle od razu bredni, przypomniał sobie znakomity mąż stanu, mąż głębokiej nauki, taktu, zręczności i umiarkowania, że jeszcze nic nie wybzdurzył z komunałów swoich o radykaliźmie; więc poprawiwszy się na trójnogu, rzucił zgodnie z myślą prokuratoryi pruskiej wyrazy potępienia na „radykalizm“ polski: „Nie odmawialiśmy (My na trójnogu) radykalizmowi naszemu uprawnienia“ ale teraz po procesie, „po wyroku, którym ugodzony został tenże radykalizm“, w uznaniu uprawnienia tego jesteśmy zmuszeni się ograniczyć!“... Ależ owszem! W tem ograniczeniu się, jak wogóle w ograniczeniu się duchowem nikt głowie „Dziennika“ ani myślał przeszkadzać, a co najwyżej, możnaby tylko zwrócić jej uwagę, ażeby do zupełnego ograniczenia z takim impetem się nie rwała, ponieważ niema już wcale tak daleko do ostatecznej mety!

Czyliż nie bliskim jest ostatecznego ograniczenia ten, kto w najszkodliwszy sposób uprawiał w „Wiarusie“ radykalizm wrogi duchowieństwu, nie przebierając w kłamstwach i potwarzach, a dziś zaczepia szczery, otwarty kierunek narodowy jako „radykalizm“? Czy nie ten, kto w zakresie publicznej swej działalności zdradzał zupełną niezdolność, zupełny brak zręczności i taktu, który, kierując pismem, niesmak budzi swą śmieszną pozą górującej ponad wszystkiemi powagi, swą pretensyonalnością, swą małoduszną złośliwością i ciasnotą poglądów, a dziś pouczać chce świat, jakie cnoty mieć powinien działacz polityczny — publicysta? Czy nie ten, którego dziennikarska czynność była jedną blagą, jałową, beztreściową i bezduszną z źle ukrywanemi znamionami samolubstwa i niczem nieusprawiedliwionej pychy, a który dziś ma czoło prawić o „blichtrze“, „okłamywaniu siebie samego“ i „przecenianiu sił w działalności publicystycznej“?

Kończąc swoje beztaktowne i nieszlachetne, w chwili surowego wyroku wylane na bibułę brednie pod tytułem „Nowy proces — nowy wyrok“, rzekł p. dr. Łebiński „wielki“ mąż stanu „Dziennika Poznańskiega“ z emfazą:

„Wielkie to nieszczęście, gdy się ludziom zdaje, że są czemś więcej, niż są rzeczywiście“.

Jeśli tak jest istotnie, to władzca kierowniczy „Dziennika Poznańskiego“ jest bardzo — bardzo nieszczęśliwy!

Zdaje mu się bowiem, że on, — „mędrzec“ włada światem — a on biedny — marnie rządzi tylko szmatem...

Poznańczyk.

* * *

„Jednością silni.“

Gdy srogi wyrok sądu pruskiego przeciwko p. dr. Rakowskiemu krwawemi głoskami zapisał się nietylko w piersiach nieszczęśliwego więźnia, ale i w sercach czytającego ogółu, — w tej chwili bólu i przygnębienia „Dziennik Poznański“ wraz z „Orędownikiem“ i osławionym „Postępem,“ te bratnie dusze, „jednością silne,“ nieprzestają napadać na biednego skazańca, a tem pohopniejsze do tego, że bezbronny więzień — cierpiąc dla sprawy narodowej, nikczemnych napaści odeprzeć nie może. P. dr. Łebiński, dr. Szymański i p. Knapowski, ta godna trójka — „jednością silnia“ jeszcze i dziś pała gryzącą nienawiścią do p. dr. Rakowskiego, który o całe niebo stoi wyżej od tych ludzi, sercem i duchem tak nizkich. —

Taki dr. Łebiński, niedołężny kierownik pisma, ale zbijogrosz pierwszej

wody, — autor pochyłych „dróg wyjścia,“ o których jeszcze w jednym z następnych numerów obszerniej pomówimy, — taki dr. Łebiński, ośmieszając sam siebie — odmawia p. dr. Rakowskiemu palmy męczeństwa, jakby więzień ubiegał się o to uznanie — i to jeszcze o uznanie — ze strony takiego dr. Łebińskiego. Pomimo twego pustego protestu, p. dr. Łebiński — palma męczeństwa pozostanie przy p. dr. Rakowskim, bo więzień zasłużył na nią rzetelnie, przy tobie zaś, p. dr. Łebiński, łagodnie się wyrażając, pozostanie chyba palma — niedołęztwa...

Mówiąc o p. dr. Łebińskim, nie możemy też pominąć i p. dr. Szymańskiego, który przyparty do muru przysięgą — przyznał się, że podpytywał ludzi zatrudnionych w wydawnictwie „Pracy,“ i że tylko za pomocą zdrady — dowiedział się, że autorem artykułów z podpisem Vester — jest rzekomo p. dr. Rakowski. — — —

To oświadczenie p. dr. Szymańskiego rozjaśniło od razu dotąd posępne twarze tak prokuratora, jak i sędziów... *p. dr. Rakowski był zasądzonym!* — —

Dla „Postępu“ nie mamy odpowiedzi, bo w mętach, — prócz p. dr. Łebińskiego — nikt nie szuka pereł...

M B.



W obronie prawdy

oświadczam niniejszem:

1) **że nieprawdą jest**, jakoby obciążali p. dr. Kazimierza Rakowskiego pp. Korfanty, naczelny redaktor „Górnoślązaka“, dalej dr. Karchowski, współpracownik „Pracy,“ oraz p. Teska i wreszcie zasłużony obywatel p. Władysław Berkan z Berlina. — Powyżej wymienieni panowie wystąpili przed forum sądu tak, jak na obywateli i prawych Polaków przystało, to jest: **z całą godnością.**

2) Natomiast zeznał **pod przysięgą** p. dr. Szymański, właściciel i wydawca „Orędownika,“ że **podpytywał** personal wydawnictwa „Pracy“ i ogłosił w swojem piśmie, iż pod pseudonimem „Vester“ kryje się p. dr. Rakowski...

Zeznanie p. dr. Szymańskiego pod przysięgą — zaakceptował tak p. prokurator, jak i sąd — i podniósł jako fakt potwierdzający, że p. dr. Rakowski jest winnym.

Rozsiewana wieść, jakoby pp. Korfanty, dr. Karchowski, Teska i Berkan obciążali skazanego, jest zmyślona, której cel zupełnie jasny: wciągnienie jak najwięcej osób niewinnych w podejrzenie dla zamglenia opinii co do nader smutnej roli, — jaką p. dr Szymański odegrał w procesie.

P. dr. Szymański postąpił sobie — nie po polsku, nie po obywatelsku, nakłaniając personal „Pracy“ do wyjawienia tajemnicy, którą potem zużytkował — pod przysięgą przeciwko nieszczęśliwemu skazańcowi. — Tyle dla wyświetlenia prawdy.

Marcin Biedermann.



Jedno z najpoczytelniejszych pism Galicyjskich **„Głos Narodu“** pisze o **„Pracy“** między innemi co następuje:

„Praca“ poznańska.

Ostatni numer „Pracy“, jak zresztą każdy tego znakomicie redagowanego pisma poznańskiego, przynosi kilka artykułów, nad któremi warto się zastanowić. W artykule wstępnym zapowiada „Praca“, że d. 1 stycznia r. p. rozpocznie wychodzić w Katowicach nowe pismo ilustrowane ludowe polskie, p. t. „Górnoślązak“. Pismo to walczyć będzie pod hasłem: *Przez lud dla ludu* Cel Górnoślązaka“ określony jest jasno: W kraju, gdzie leżą *obszerne ugory odłogiem*, „Górnoślązak“ poświęcać będzie swe siły sprawie polskiej. „Przygotój więc płng swój, wyostrz lemiesze, pracowity chłopie, — czeka cię znojna praca na ślązkich ugorach. — Jawny i określony twój cel: aby Polak każdy na Górnym Śląsku, uświadomiony narodowo, wybierał Polaka posłem.“

Procesu wrzesińskiego nie omawia „Praca“. Zrobiła to już półtora tygodnia temu, wtedy, gdy wyrok nie został jeszcze wydany. Przypuszczając, jak najcięższe kary dla oskarżonych, stojących pod sądem, gdy naród polski łudził się może jeszcze, że Prusacy nie są tak wielkimi . . . . — „Praca“ niestety się nie pomyliła. Ci redaktorzy polscy w Poznaniu, znają doskonale . . . . W artykule *„Nie znacie nas“*, pisze Vester, oceniając reakcyą społeczeństwa polskiego po wyroku wrzesińskim. — „Tak działać może tylko naród, — jednolity olbrzym — z jednem sercem. — Bo narodem jesteśmy.

Nie znacie nas. — Słuchajcie: naród, co patrzył na Grunwald i Wiedeń i Maciejowice i rzeź Pragi i Kroże, — co zmiażdżył potęgę niemieckiego zakonu i u stóp królów obcych koronę kładł, co Europę zbawiał od tatarskiej dziczy przez lat setki — naród taki nie zna trwogi ani rozpaczy.

Nie znacie nas, zamiast trwogi ujrzeliście w twarzach naszych pogodę, zamiast rozpaczy — wstręt.“

„Przed forum całego świata“ powołuje Prusaków „Poznańczyk“ za wyrok wrzesiński ...„przed forum całego świata wytaczamy dziś krzywdy nasze!“

Nadchodzą dla nas, jak się zdaje, czasy wprost straszne, które przyniosą nam cierpienia i ciosy, jakich może żaden naród cywilizowany nie znosił. Uzbrojmy się na te czasy! A nie lękajmy się ich, bo przy nas Bóg! Niech nam — jak woła wieszcz Chorału — „Nie krew płynie w żyłach — lecz żelazo.“ Młódź naszą godźmy „wcześnie z życia jej treścią“ — niech wie, że:

„Kto wyjdzie z krainy żałoby,
„Kto dzieckiem ujrzał ofiar świeże [groby,
„Ten już żyć musi boleścią!“

Zdawać sprawę z kilkuarkuszowego numeru „Pracy“, w którym właściwie nie ma ani jednej rzeczy mniejszej wagi, przechodzi możność codziennego pisma. Z kilku zacytowanych wyjątków pozna czytelnik, w jakim tonie redagowane jest to najlepsze ludowe pismo Wielkopolski. — *„Praca“ zasługuje na jak najszersze rozpowszechnienie.* Teraz gdy z powodu wrzesińskiego procesu łączność nasza z Wielkopolską bardziej się zacieśniła, nie są nam obojętne sprawy, obchodzące tę najstarszą dzielnicę Polski. W tem zaś tygodniowem piśmie ludowem znajdzie każdy czytelnik doskonale napisany przegląd spraw poznańskich.



„Górnoślązaka“ przyjęła przychylnie tak publiczność jak i prasa, a **„Goniec Wielkopolski“** odzywa się w następujących koleżeńskich słowach:

Witamy kolegę!

— Kogo?

— „Górnoślązaka,“ który w bardzo ponętnej szacie i w podwójnej objętości ujrzał wreszcie światło dzienne. Piszemy wreszcie, bo szczerze mówimy, nie śmieliśmy się go spodziewać wobec nowych przeciwności, jakie napotkał jego wydawca p. Marcin Biedermann i ciężkich kolubryn, jakie na pisma polskie wogóle wytoczyli „nasi najserdeczniejsi.“ Nie było też pewności, czy „Młody Ślązak“, który jest duchem nowego dziennika, będzie mógł już teraz zaraz oddać się cały na usługi sprawy naszej na Ślązku. Na szczęście szczera wola i wiara w słuszność sprawy dopomogły do dopięcia celu — i Górny Slązk będzie mógł odtąd żywić się zdrową i rodzimą polityką szczero-polską.

Nie chcemy pisać komplementów, ani też przechwalać zawczasu, ale przyznać musimy, że okazowy „Górnoślązak“ schwycił nas za serce, bo bije z niego gorąca miłość Ojczyzny, widać w nim rzetelność usiłowań, przebija gruntowna podstawa polityczna i góruje chęć służenia jak najlepiej ludowi ślązkiemu, i „Górnoślązak,“ prawdziwym ma być orędownikiem. Jest i urozmaicenie potrzebnego z pożytecznem, a przyjemnem jest nawet i dowcipne przerwanie jednostajności łamów w postaci zbawiennych a jędrnych haseł, pobudek, przypominających najżywotniejsze obowiązki Polaka.

Na program redakcyi zupełnie godzić się możemy, a cieszymy się z niego tembardziej, iż zasady, jakich „Goniec Wielkopolski“ pierwszy, a od 20 lat z górą dla Górnego Slązka był głosicielem, iż zasady te nareszcie tam na miejscu uzyskały osobny samodzielny i niezależny organ dla spraw i swoich bliższych i ogólnych zarazem.

* * *

Tak samo i **„Kuryer Poznański“** nie poskąpił „Górnoślązakowi“ dłuższej sympatycznej wzmianki.

* * *

Przemówił też znowu „On“ mąż wielki z „Dziennika Pozn.“, ale w jego oczach „Górnoślązak“ nie znalazł poklasku. — W jednym z następnych numerów przedrukujemy „Wiarusa“, swego czasu przez p. dra Łebińskiego redagowanego, choćby już dla porównania, które z pism lepsze: „Górnoślązak“ czy zapomniany „Wiarus“ p. dra Łebińskiego.



— Baczność! Następny numer „Pracy“ wyjdzie już jako

numer gwiazdkowy,

więc

czas największy zapisać

„Pracę“ na nowy kwartał.

Kwity na „Pracę“, „Górnoślązaka“ i „Czytelnię Polską“ dołączamy na początku numeru.

Numer gwiazdkowy „Pracy“, bogato illustrowany i obfity w doborową treść, oddamy na pocztę nie wcześniej jak w przyszłą niedzielę, dnia 22-go b. m. tak, aby każdy z Czytelników nawet w najodleglejszej stronie zamieszkały, mógł ten numer otrzymać najpóźniej — we wilią z rana.

Redakcya „Pracy“.

Wiadomości.

Dla rodziny dr. Rakowskiego złożono dotąd jako dar narodowy w redakcyi „Nowej Reformy“ 400 koron;

w „Pracy“ 300 marek;

nadto świadkowie, występujący w procesie p. dra Rakowskiego, a mianowicie pp. Karol Rzepecki, Rudnicki, Bronisław Śniegocki i Wojciech Korfanty — wręczyli redakcyi naszej odebrane świadkowe, jako „dar narodowy“ dla rodziny p. Dr. Rakowskiego.

Dotąd zebrano razem włącznie „Nowej Reformy“ ca. 1000 marek.

Żywimy nadzieję, że Czytelnicy „Pracy“ niezapomną o dzieciach, stroskanej żonie i staruszce matce nieszczęśliwego więźnia... Pan Dr. Rakowski niezbijał grosza, lecz całą duszą służył sprawie.

Pamiętajmy więc o rodzinie jego!...

— **Z teatru.** W sobotę, dnia 14-go b. m. premiera: „Helena de la Seiglière,“ komedya z francuskiego w 4 aktach Juliusza Sandeau.

W niedzielę wieczorem druga premiera: „Stare miasto“ (Chwaliszewo), obraz dramatyczny ze śpiewami, kupletami i tańcami przez Domnika, z muzyką Swierzyńskiego, a po południu o godzinie 3-ej po cenach do połowy zniżonych piękna tragedya Gutzkowa p. t. „Uriel Acosta.“

Każda z premierowych sztuk jest doskonałą w swoim rodzaju i obie są nader zajmujące, spodziewać się więc należy, że teatr na obudwu przedstawieniach będzie przepełnionym.

Wznowiona ostatnio znakomita komedya Kazimierza Zalewskiego p. t. „Górą nasi“ miała wielkie i zasłużone powodzenie. Tak **mise en scene**, jak też poszczególne postacie wszystkich występujących w tej sztuce artystów były doskonale wystudyowane, a p. dyrektor Ryger (Kurjatowicz) grał, jak zwykle, po mistrzowsku. Wogóle grano gładko, składnie i harmonijnie, a sprężystość dzielnej reżyseryi była widoczną na każdym kroku.

— **Zwracamy** baczną uwagę na inserat p. W. Niedbalskiego, długoletniego dysponenta firmy W. Becker, który przy ulicy Rycerskiej Nr. 1. narożnik pl. Wilhelmowskiego otworzył handel łakoci tow. kolonialnych win i t. d. — Nowe to przedsiębiorstwo polecamy łaskawym względom szan. Czytelnikom.

— **Zwracamy** szczególną uwagę na ogłoszenie p. M. Domagalskiego w Poznaniu — Ratajach o pierwszej parowej fabryce eterycznych olejków, essencyi i nietrujących farb. Nowemu przedsiębiorstwu „Szczęść Boże.“

— **Zwracamy** szczególną uwagę na ogłoszenie drogeryi p. K. Chmielewskiego. Młody przedsiębiorca zadał sobie dużo starań, aby swą wystawę gwiazdkową li tylko w najpiękniejsze stroje na drzewko zaopatrzyć.

Na podarki zaś poleca aparaty fotograficzne, pudełka z farbami do malarstwa artystycznego, jako też perfumy i mydła w pięknych kasetkach, po nadzwyczaj nizkich cenach.

Polecamy więc gorąco firmę „Nową Drogeryą „K. Chmielewski“ przy wszystkich zakupnach gwiazdkowych łaskawym względom naszych czytelników.

— **Monstrancyą** ofiarowaną dla Kościoła na św. Łazarzu przez małżonków Ignacego i Maryannę Rauschów z Górczyna oglądać można w oknie wystawnem pana Jana Białasa przy ulicy Wrocławskiej Nr. 2. Monstrancya ta, jak już pisaliśmy, ofiarowana przez Najprzewielebnego X. Arcypasterza jako arcydzieło sztuki złotniczej, zestawiona jest z kilkuset cząstek na kształt krzyża w stylu romanskim. Całość tej monstrancyi przypomina historyą biblijną. Dolna część przedstawia stary a górna część nowy testament

Od dołu zdobi ją osiem małych filarków w niszy każdego filarka jest umieszczona mała pięknie cyzelowana z palonego srebra w siedzącej postaci figurka. Są to prorocy starego testamentu: Izajasz, Ezecheliel, Malachiasz, Zacharyjasz, Habakuk, Elijasz, Jeremiasz i Daniel. Po nad figurkami jest osiem okrągłych emalii, przedstawiających główne zdarzenia biblijne i to: 1. Drzewo żywota czyli raj. 2. Ofiara Abrachama. 3. Ofiara Melchizedaka. 4. Pomazanie Baranka wielkanocnego. 5. Mojżesz na puszczy. 6. Węże jadowite. 7. Elijasz pror. 8. Arcykapłan. Teraz ponad temi emaliami jest osiem smoków; spuszczających się ku dołowi, w niszach obok tychże są emalijowane znaki niebieskie. Ponad podstawą wyobrażony jest Nowy Testament i tu jak u dołu, jest osiem figurek z palonego srebra w siedzącej postawie i to apostołowie i doktorowie św. Kościoła: Swięty Piotr, św. Paweł, św. Józef, św. Jan Chrzciciel, św. Grzegorz, św. Hieronim, św. Ambroży, św. Augustyn. W środku jest dla Przenajśw. Hostyi zaszklony otwór. Wokoło zaś jest osiem głównych zdarzeń emaliowanych z Nowego Testamentu: Narodzenie Pana Jezusa, Ogrójec, Biczowanie, Cierniem Koronowanie, Upadek pod krzyżem, Ukrzyżowanie, Zmartwychpowstanie i Wniebowstąpienie. Na czterech ramionach od środka jest czterech ewangielistów z palonego srebra na niebieskiem tle: Sw. Jan, św. Łazarz, św, Marek i św. Mateusz.

Na czterech narożnikach krzyża są cztery obrazki niklowe u góry: Baranek Boży a z lewej strony Matka Boska Bolesna, na prawej stronie św. Ignacy Lojola, u dołu zaś jest Pan Jezus wskrzeszający Łazarza, patrona Kościoła na św Łazarzu.

— **Szan. Czytelnikom** Wrześni i okolicy donosimy uprzejmie, iż otworzyliśmy agenturę „Pracy,“ „Czytelni Polskiej“ i „Górnoślązaka w **księgarni p. A. Prądzyńskiego w Wrześni.**

— **Zwracamy** uwagę na ogłoszenie p. M. Szczepaniaka, zegarmistrza w Krotoszynie, który poleca wszelkie nowości w biżuteryi i zegarkach, nadające się na podarki gwiazdkowe. Cenniki wysyła gratis i franko.

— **Pan J. W. Nowak**, księgarnia w Pr. Starogardzie, poleca na gwiazdkę wielki zapas przyborów na chojenkę, elementarze polskie, książki wielkiego rodzaju,. Wielki wybór materyałów piśm., krzyżów, obrazów, różańcy, figur albumów itd itd., na co się szanownej publiczności zwraca uwagę i na ogłoszenie.

— **Zwracamy uwagę** na anons p. A Markiewicza z Kostrzyna, którego pierniki słyną daleko po za granicami Księstwa.

— **Miejsce** dla lekarza w jednem z mniejszych miast Górnego Sląska w czysto polskiej okolicy wskaże bezinteresownie, kto? powie Eksp. Pracy.

— **Lekarz** rodak znajdzie na Górnym Sląsku, w mieście, liczącem do 4 tyś. ludności polskiej, wraz z okolicą rdzennie polską, — dobre utrzymanie; w miejscu jest lekarz Niemiec i lekarz Żyd. Bliższych szczegółów udzieli Eks. „Pracy“.

— **Walne zebranie** Towarzystwa Pomocy Naukowej Im. K. Marcinkowskiego na powiat śremski odbędzie się w niedzielę 15-go b. m. o 5 tej na sali hotelu „Victoria.“

Komitet.

— **Na chleb św. Antoniego** złożył pan Franciszek Szlosarczyk z Solarnii na Górnym Slązku 2 m.

Razem złożono na ten cel 42 m.

— **Na wydalonych gimnazyjstów** w Toruniu złożył p. T. Małecki z Horbkowa (Galicya) 5 m.

Dotąd złożono u nas 97 m. 96 fen.

Dalsze składki chętnie przyjmujemy.

Od Administracyi.

Drobne inserata czyli ogłoszenia przyjmuje tylko za poprzedniem nadesłaniem należytości.

Od Redakcyi.

Panu „Fergeresowi“ — Wycinek otrzymaliśmy — dziękujemy.

Panu Franciszkowi Kw. w Berlinie. — Najlepiej poinformuje Pana redakcya „Dziennika Berlińskiego“ przy Koppenstrasse 79.

Tow. gimn. Sokół — Rozdzień. — Dziękujemy.

P. S. — Nie odebraliśmy.

P. J. Regale — Racibórz. — Wyczerpane.

P. J. Dawid, Hotrop, Westf. „Polonia“ Styki, obraz wielkości 75 × 105 kosztuje 10 mk.

Panu Dr. K. w T. Rękopis (opis miasta Tucholi) z użyjemy.

Panu P. Kub... w Bytomiu. — Ogłoś Pan w „Pracy“, a z pewnością będzie sku-

tek. My się takiemi sprawami trudnić nie możemy.

P. T. Rychert — Łonczyn. Pr. Zach. — Nr. 44 „Pracy" skonfiskowany.

C. k. urząd pocztowy — Cucyłów, Galicya. — Skonfiskowany.

P. Thomasowi w Żabikowie. — Fotografia z powodu częstych rewizyi zagubiona. Jeżeli się znajdzie odeślemy.

Panu Tadeuszowi B. w Zaniemyslu. — W tej sprawie nie możemy Panu udzielić żądanej informacyi. Udaj się Pan do p. Teodora Żychlińskiego w Poznaniu, św. Marcin, który wydaje „Złotą księgę szlachty polskiej." Rękopis zwracamy.

Imci księdzu Zdzisławowi Z. w G. — W sprawie ogrodu H. B. prosimy podać anons w „Pracy", dwurazowe ogłoszenie 5 mrk. za poprzedniem nadesłaniem pieniędzy.

Zaproszenie do przedpłaty.

Czytelnicy abonujcie

„Górnoślązaka."

„**Górnoślązak**" wychodzić będzie z dniem 1-go Stycznia w Katowicach, ulica Poprzeczna 12 (Kattowitz O./Schl., Querstr.) i to **codziennie** z licznemi illustracyami.

Przedpłatę przyjąć musi już teraz każdy listowy i każda poczta w obrębie państwa niemieckiego.

„Górnoślązak" podawać będzie bardzo zajmujące jędrne artykuły, a szczególnie obszerny dział wiadomości potocznych nietylko z Górnego Ślązka, ale też z obczyzny, z Wielkopolski i Prus.

„Górnoślązak" poruszać będzie wszystkie najżywotniejsze kwestye naszego bytu narodowego i **śmiało wypowie swe zdanie.**

„Górnoślązak podawać będzie bardzo zajmujące powieści z **illustracyami**, a w niedzielnym bezpłatnym dodatku

„Polski Ślązk"

opisy naszych stron rodzinnych z obrazkami, pogląd na historyę Polski i Ślązka, podawać będzie illustracye sławnych mężów, zasłużonych około sprawy polskiej.

Czytajcie „Górnoślązaka!"

„Górnoślązak" jest pismem prawdziwie polskiem i szczerze katolickiem.
„Górnoślązak" broni ostro naszych interesów narodowych.
„Górnoślązak" broni interesów kościoła św.
„Górnoślązak" broni dzielnie interesów robotników.
„Górnoślązak" broni dzielnie interesów włościan.
„Górnoślązak" powinien się znajdować w każdym domu polskim.
„Górnoślązak ma bardzo ładne obrazki i dodatki.
„Górnoślązak" płaci wdowie lub sierotom po czytelniku, który zginął wskutek nieszczęśliwego wypadku

200 marek wsparcia.

„Górnoślązak" jest najtańszem polskiem pismem codziennem, kosztuje na każdej poczcie i u pp. ajentów

tylko 1 markę 30 fen. ćwierćrocznie,

z odnoszeniem do domu **1 markę 60 fen.**

Bracia Czytelnicy — Wiarusy! Rozszerzajcie „Górnoślązaka" pomiędzy znajomymi i agitujcie wszędzie za nim!

Zdolni kolporterzy mogą się zgłaszać do Redakcyi w Katowicach albo też do „Pracy" w Poznaniu.

Wydawnictwo „Pracy," „Górnoślązaka" i Czytelni Polskiej"

Poznań, ulica Rycerska nr. 38. — Katowice, ulica Poprzeczna nr. 12 (Querstrasse Nr. 12).
Kraków, ulica św. Jana 18.

Dział illustrowany „Pracy.“

Września.

Po całej Polsce przeszedł dreszcz...
Po całej Polsce przeszedł krzyk...

Dreszcz ten i krzyk z piersi milionów, jakby z piersi jednego człowieka wyrwany, okazał — żeśmy jednością, żeśmy całością, żeśmy narodem niepodzielnym, mimo stuletniej niewoli, mimo kordonów, mimo prześladowań i męczarń — jedną duszą i jednem sercem ożywionym narodem.

Września — to etap w naszych dziejach.

Mieliśmy w naszej historyi miejscowości, opromienione chwałą i radością: Psie pole... Grunwald... Lublin, gdzie zawarto Unią, mieliśmy Kirchholm, Chocim, Wiedeń... Września — to miejsce pamiątkowe innego rodzaju... Praga, gdzie dzicz Suwarowa niemowlęta na piki nadziewała, niezliczone miejscowości na Litwie i Podlasiu, gdzie kobiety i dzieci piekielne znosiły katusze, Kroże, gdzie morderstwa na bezbronnych jękiem swym rozdzierały niebo — etapy to dziejów naszych nowoczesnych, etapy Kalwaryi...

A z Kalwaryi krew spływała, ale z niej wyszli bohaterzy wiary, ale ci cisi bohaterzy zwyciężyli najpotężniejszych w pancerz swej przemocy zakutych katów, ale ci mali, niepozorni bohaterzy z Wrześni — świat zdobyli!.

Pierwszy cud z tej Golgoty już spłynął: wyszliśmy zdrowszym, niż kiedykolwiek, bardziej zjednoczonym narodem. I silni tem poczuciem, jak opoka twardy i nienaruszony mając lud, jako podstawę, stawiamy czoło wszystkim burzom, wszystkim gromom, wszystkim przeciwnościom... Nie zginęła sprawa nasza i nie zginie!

* * *

Września w dziejach naszych porozbiorowych zapisała się już raz krwawemi zgłoskami.



Działo się to w r. 1848, w roku tym nadziei i wiosny ludów, do której zniweczenia niemało się Prusy przyczyniły.

Dnia 2-go maja garść powstańców polskich przymaszerowała z Miłosławia do Wrześni, wycieńczona głodem, marszem i bojem. Tu napadł na nią generał pruski Hirschfeld. Nasi stawiali mu czoło z ogromną, rozpaczliwą odwagą; najwięcej odznaczyli się kosynierzy. Dwukrotnie natarli na przeważające siły nieprzyjaciela, nareszcie wpadli na folwark Sokołowski — jakby w pułapkę. Tu rozegrały się sceny, godne — chwały krzyżackiej. „Jeden z oficerów polskich zawołał: „*pardon!*“ i kazał swoim ludziom rzucać kosy. Prusacy — pisze historyk — pewni już zwycięztwa nad bezbronną garstką, zaczęli na piętnaście kroków ogień. Zginęli oficerowie-emigranci Krzysztofor, Wołoszyński, Drozdowski, którzy po długiem tułactwie i cierpieniach tu wreszcie położyli życie za sprawę. Nikt nie ocalał. Choć ciężko ranny z ziemi się podnosił, dobijano go uderzeniami kolby, lub pchnięciem bagneta. Równocześnie oderwany od reszty oddziałek kosynierów, ze 30 ludzi może złożony, szukał schronienia w owczarni. Wtedy Prusacy zapalili zabudowania dworskie i obstawili płonące budynki kordonem bagnetów; kto się żywcem nie spalił, ten, wybiegając z płomieni, na bagnet się nadział.

Obraz pomnika poległych dajemy w tym numerze. Cześć pamięci bojowników!

* * *

Września ma więc swoje tradycye męczeńskie.

Tradycye, które przechodzą z ojca na syna — z pokolenia na pokolenie... Gdy w r. 1848 nieśli ofiarę przeważnie emigranci, szlachta, częściowo tylko mieszczanie i chłopi — dzisiaj zdrowie, mienie, wolność na ołtarzu Ojczyzny składa lud cały...

Oto feniks nowy powstaje z popiołów. To nasz cud, nasza wiara, oto przyszłości rękojma!

Mimowoli przypomina się parabola z „Dziadów“:

„Gdy Bóg wygnał grzesznika z rajskiego ogrodu,
Niechciał przecie, ażeby człowiek umarł z głodu;
I rozkazał aniołom zboże przysposobić,
I rozsypać ziarnami po drodze człowieka.
Przyszedł Adam, znalazł je, obejrzał z daleka,
I odszedł, bo nie wiedział co ze zbożem robić.
Aż w nocy przyszedł dyabeł mądry i tak rzecze:
Niedaremnie tu Pan Bóg rozsypał garść żyta.
Musi tu być w tych ziarnach jakaś moc ukryta;
Schowajmy je, nim człowiek ich wartość docieczе.
Zrobił rogiem rów w ziemi i nasypał żytem,
Naplwał i ziemią nakrył i przybił kopytem;
Dumny i rad, że boże zamiary przeniknął.
Całem gardłem rozśmiał się i ryknął i zniknął
Aż tu wiosną, na wielkie dyabła zadziwienie,
Wyrasta trawa, kwiecie, kłosy i nasienie“.

I. P.



JAK KAMIEŃ.

Jak kamień, w dno rzeki
Ze siłą rzucony,
Zakreśla swe koła
W coraz dalsze strony,
Tak wyrok wasz .....
Choć zapadł głęboko
Popłynął na fali
Daleko — szeroko...

Jak kamień, co wrośnie,
Nie łatwo się wzruszy...
Jak nie da się wyjąć
Ból głęboki z duszy...
A wyrok wasz .....
Wrósł w serce narodu
I nie da się stopić
Jak głaz bryły lodu.

Jak kamień, co rani,
Kaleczy, morduje,
Tak wyrok wasz .....
Cały naród czuje
I cały kraj pyta...
Czy serca nie macie,
Iż ludzi tak dzielnych
..... osądzacie?...

Jak kamień tak zimna
Być musi dusza,
Której ni płacz matki,
Jęk dziecka nie wzrusza...
Jak kamień — sumienie
Sądu takiego...
Ale przyjdzie kiedyś
Dzień sądu — Bożego!
Z Galicyi.



Dzielna kobieta.

Zeznania i odpowiedzi kobiet oskarżonych o to, że nie chciały zezwolić na katowanie drobnych dzieci, przed trybunałem gnieźnieńskim wzruszały niejednokrotnie prostotą i prawdą, siłą uczucia i wiary nieuczonej a głębokiej.

I tak n. p. żona pedela szkólnego Gadzińska: co to za dzielna kobieta!

Scena przesłuchiwania jej musiała do głębi wzruszyć każdego, bez różnicy wyznania i narodowości. Gdy przewodniczący jej się zapytał, czy to przecież nie wszystko jedno, w jakim języku dziecko uczy się religii, byle tylko ten język znało, to odpowiedziała z głęboką wiarą i przekonaniem, łkając od łez: „Nie! bo dzieci w niemieckim języku nie rozumieją religii, jak się to sama na swych dzieciach przekonałam. Religia jest nas, biednego ludu, całą pociechą, całą nadzieją w lepszą przyszłość, całym majątkiem! Gdy religii udzielano w języku polskim, to wiedziałam, czego się dzieci moje uczą i cieszyłam się z tego, gdy na wieczór mogłam z dziećmi usieść przy stole i razem z niemi i katechizm i historyą świętą przechodzić. Serce mi rosło, bo i sama rozumiałam, a dziś, ani ja, ani dzieci nie rozumiemy tego, co uczą!“

I w obec takich kobiet i takich dzieci system pruski myśli, że da nam radę!



Gadzińska
i jej słowa w obliczu sądu gnieźnieńskiego:

„Jak dziecko mi czyta katechizm po polsku, to wszystko rozumiem i serce mi się raduje. To mój skarb największy, to moje szczęście, to cały mój majątek, to moje wszystko. A gdy po niemiecku czyta, to mi się serce kraje.“



Wrzesińskie dzieci.

Tam! tam nad Wrześnią nowe słońce wschodzi
Zpoza osłony czarnych, ciężkich chmur,
Z za krat sądowych, z procesów powodzi,
A padłszy na twarz synów i cór,
Jak złota zorza szczerym blaskiem świeci:
Na wrzesińskie dzieci!

O dzieci moje! o moje dzieciska!
Gdy laur męczeństwa zdobi waszą skroń;
Z jakąż otuchą Ojczyzna przyciska
Waszą obitą tak niewinnie dłoń,
Która dziś drobna — kiedyś orłem wzleci:
Na wrzesińskie dzieci!

Bo kto za młodu nie ugiął się w męce,
Ten gdy dorośnie, będzie wiele wart!
A gdy uchwyci przyszłość w swoje ręce
I światu ciśnie swojej dłoni hart,
Ten życie nowe w swej Ojczyźnie wznieci:
O, wrzesińskie dzieci!

Choć cios nas boli, my patrzym radośnie
Na wasze męki, na wasz ciężki ból,
Bo to nam świadczy, że idziem ku wiośnie,
Gdy dzielne pączki pękają wśród pól,
A zieleń tryska z śnieżystej zamieci:
O! wrzesińskie dzieci!

Dzieci tej ziemi! w górę, w górę czoła!
Z Wrześni coś idzie, jakaś wielka moc,
Jak woń ożywcza na miasto, na sioła;
Jako światełko w ciemną, duszną noc,
Tak nam czyn dzielny jasno w przyszłość świeci:
Tych wrzesińskich dzieci!

Dzieci tej ziemi! gdy was ból omota,
A drobne serce pocznie męka gnieść,
Gdy słabnąć pocznie i wiara i cnota:
Niech wam przyświeca owych dzieci cześć,
Co świecić będzie do końca stuleci
Z tych wrzesińskich dzieci
W. P.

Miłość ludzi.

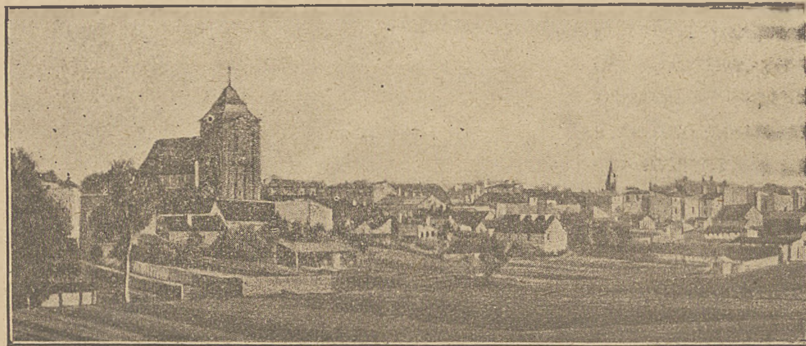
V.

Gdybyśmy to pojęcie dzielili o ludziach tylko na dobrych i złych — możebyśmy o wiele rychlej uporali się z tą klasyfikacyą i złych zostawiwszy na uboczu, potrafili chociaż dobrych kochać tak, jak każe Chrystus, jak sumienie szepce i żąda.

Ale niestety tak nie jest.

U nas podział ludzi doszedł do takiego systemu, iż nie tylko na dziesiętne, setne, tysiączne ułamki i pierwiastki rozszarpaliśmy społeczeństwo, ale jeszcze dalej i dalej to dzielenie robimy, stwarzając nowe klasy, typy, warstwy, grupy, kategorye ludzkich serc, myśli i prac, jak gdybyśmy prawdziwie tę anatomią społeczną uznawali za niezbędnie potrzebną.

Podzieliliśmy się na ludzi „wyższych“ i „niższych“, „lepiej urodzonych“ i „proletaryat nowy“, na „pierwszych“ i „ostatnich“ w narodzie, na „przewodników“ i „tłumy bezmyślnie idące“, na „inteligencyą“ i „motłoch,“ „rozkazujących“ i tych, którzy „słuchać muszą,“ na „jaśnie oświeconych“ i „ciemny tłum,“ — słowem okropny, długi, straszny łańcuch spleciony z ogniw pojedyńczych, w których tysiące odmian, różnic, pychy i



Ogólny widok Wrześni.



Szkoła we Wrześni, pamiętna katowaniem dzieci polskich.

wzgardy, a wszędzie jedno i to samo, klejnot po nad klejnoty, brylant nad brylanty — *dusza człowieka!*

Nie rozważamy, nie pamiętamy, nie chcemy nawet myśleć o tem, iż ona wszędzie u każdego jest, a wedle niej jesteśmy równi, jesteśmy braćmi, stanowimy jedną potężną rodzinę — ludzkość.

Dusza?

Czyż my o nią pytamy? czy jej wśród ludzi szukamy? Najmniej nam o nią idzie, najmniej na nią patrzymy. Nam trzeba od jednych ludzi wiedzy, od drugich pieniędzy, od innych pracy. U jednych szukamy tylko pięknego oblicza, u drugich artyzmu potrzebnego dla naszej przyjemności, u innych, czarnych, silnych, spracowanych dłoni, któreby dźwigały ciężary ku naszej wygodzie i umiatały kurz z przed naszych nóg.

Więc czy wśród takich warunków może snuć się złotej miłości nić, między ludźmi nie ludźmi, braćmi nie braćmi, dobrymi, niedobrymi?

Ludzi nie znamy, nie umiemy szanować: a więc dlatego ich nie kochamy.

Rzecz naturalna, nie kochając się



Kościół we Wrześni.

wzajem, nie wspieramy się jedni o drugich, nie ochraniamy jednych i drugich przed wichrami nieszczęść, nie rozplątujemy ciernistych splotów z dróg naszych, lecz owszem, uplatamy coraz to nowe więzy, stawiamy coraz inne barykady, okopy i mury, nawet częstokrać staramy się o to, aby jednych odepchnąć jak najdalej, a rugim jeszcze więcej gniotądcych ciężarów na barki znosić.

I nie umiemy żyć z ludźmi!...

Zycie samo, jako czyn ciągły, jako droga do celu nieśmiertelnego, jako nieprzestanne dążenie do doskonałości jest dziełem niezmiernie trudenm do wykonania i — mało kto mógł rzec śmiało: żyłem dobrze.



Rynek z ulicą zamkową we Wrześni.

Nawet ci wielcy, nieskończenie doskonali, ci wszyscy, co zaparli się siebie i szli jedynie do tego celu, aby Bogu życiem oddać chwałę, — ci święci, męczennicy, apostołowie, pustelnicy — nie mówili sobie: iż zadaniu życia odpowiedzieli zupełnie dobrze, a my, czyż odważamy się rzec, że ledwie jako tako gramy sztukę życia, bo prawdziwie życie nie pojęliśmy?

Nie umiejąc żyć sami — to znaczy, nie umiejąc wykonać wszystkich obowiązków, jakie na nas ciążą — ośmielamy się ciągle krytykować innych, że źle żyją. Czy to nie dziwne?

„Życie na zagonie i w pałacu równo upływa i kończy się, a słusznie ktoś powiedział, że Bóg nie spyta, ani *cośmy umieli*, ani *cośmy mieli*, tylko jakżeśmy spełnili swe obowiązki i co zrobiliśmy na świecie". (Kraszewski.)

I my nie powinniśmy patrzeć na to, co inni *umieją* lub co *mają*, ale czem wypełniają życia wielką przestrzeń sięgającą cel niezmierzonych głębin tajemnic, aż do najwyższych szczytów powinności, od najcięższej walki z swemi skłonnościami do najwznioślejszego wyrozumienia na ułomności ludzkie — — — oto wartość — barwa i znaczenie życia!... Jeśli chcemy ludzi wedle tego oceniać i chwalić, w takim razie znieśmy kasty — warstwy, klasy i przywileje, a ceńmy tylko wyższość jednych przed drugimi — ilością cnót w obec ilości wad. Możemy, nawet powinniśmy żądać od ludzi jak najwięcej ich dobra i szlachetności — lecz pomimo braków i niedostatków — nie należy się do nich *zrażać*, ani od nich stronić... Ah!... ileż na to głosów opozycyi podnosi się!... ileż szumu, wichru, kurzawy, gradu skarg i wyliczanych win sypie się na podobną myśl nawet... — Czy podobna żyć z ludźmi?.. Z jakimi? z tymi nieucywilizowanymi, z tymi krzykliwymi, gadatliwymi, fałszywymi w każdej myśli i słowie?... — Nie tylko, że jesteśmy przeciwnego zdania, że należy od ludzi stronić, ale nawet powiadamy śmiało, ludzi się trzeba bać — gorzej jak zwierząt drapieżnych. Przed zwierzętami dzikiemi ochroni mię dom mój, — a przed ludzką złością, ani sto warownych zamków nie ubezpieczy.

— Dziś są czasy takie, iż wobec ludzi musi być człowiek tak zamknięty — ostrożny — nieufny, iż nieraz przed najbliższym sobie szczerze postąpić nie może, bo i najbliższy może być najgorszym.

— Dziś ludzie są jak zaraza — jak chinina — jak straszne powietrze, tak ich życie — duch — myśl i czyn truje

— zabija — w otchłań zaguby wtrąca...
— O! ludzkie towarzystwo jest nieraz jako ciężar najcięższy — jako trud najtrudniejszy, jako plewa z której i po kilku godzinach szukania jednego ziarnka nie wywiejesz — jestto wiatrak mielący i klekocący, choć z pod kamienia szczypty mąki nie wybierzesz.

Na to wszystko zgoda.

Jednak — — o tem trzeba nieco szerzej pogawędzić. *W. Sz.*



Śmiało na gromy!

Straszną szarugą orkanów zwiastunką
Z hukiem piorunów niebo się chmurzy,
A fala morska jakby burz piastunką
Dodaje otuchy rozszalałej burzy!
W środku wirów i morskich bałwanów
Rozpięła żagiel łódź jedna samotna
Pchana wichrami rzekłbyś „siłą tytanów!"
W łodzi garstka młodzieży, lecz młodzież ochotna:
Choć potem od pracy zroszone czoła,
Ich krew obiema spływa rękomy,
Nadzieja w nich rośnie, nadzieja doń woła:
„Nie drżyjmy przed burzą, śmiało na gromy!"
Tak! śmiało na gromy, choć sztandary
Ciemne rozwiła noc straszna ponura,
Choć ślepy huragan straszy swemi kary,
Morze się wzbija aż po nad chmurą
I wroga tłuszcza śle nam urąganie,
Chcąc zniszczyć serca przejęte miłością,
Ku wierze w przyszłość, wierze w zmartwychwstanie,
Wierze pozostałej dla nas jedyną radością,
Sroż i gniewaj się dalej zgrajo zacięta,
Zwołaj jeszcze na pomoc piekła ogromy
Nas nie złamiesz — bo w sercach nieugięta
Wiara nasza mówi: „Śmiało na gromy!"
I wolność i Ojczyznę okuto w kajdany,
Lecz serc nie okują — w nich święta miłość
Pała jak ogień wiecznem zarzewiem zagrzany!
Związmy swe ręce — związane przez jedność
Silnie stać będziem — odkryjmy piersi,
Niech gołe piersi stanowią nam mury,
Które choćby posiekać na ćwierci
Nową zajaśnieją potęgą, rzekłbyś! z za chmury.
Wynurzył się księżyc i blaskiem gwiazdy zastrasza
Ta walka zacięta — to cel niechybiony
W niej rozkwita życie narodu, w niej wolność nasza!
A więc naprzód z tą wiarą! śmiało na gromy!
Sarmata.



Ks. Dr. Floryan Stablewski.
Arcybiskup Gnieźnieńsko-Poznański.

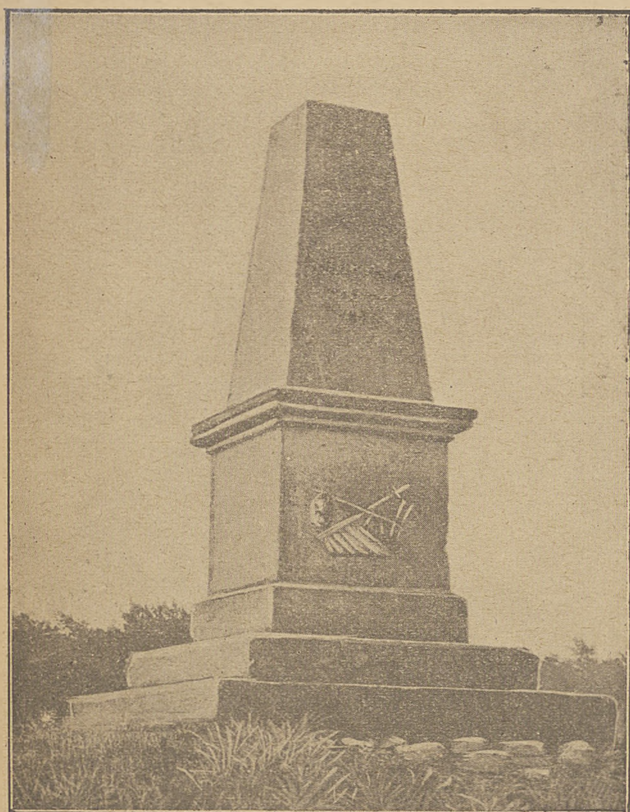


Wciąż naprzód.

Oskrzydlaj myśl, zaostrzaj wzrok,
Za słońcem goń na niebie;
Zwycięztwem znacz swój każdy krok
I — nie patrz po za siebie!

Wybrany cel niech ciebie wciąż
Jutrzejszą nęci zdobą,
Bez przerwy walcz i naprzód dąż
I — nie patrz, co za tobą!

Przebyły szlak w cieniu się skrył,
Noc w kirach go swych grzebie!
By ci do walk nie zbrakło sił,
Ach! nie patrz po za siebie!
Wiktor Gomulicki.



Pomnik poległych w bitwie z Prusakami pod Wrześnią i Sokołowem dnia 2 maja 1848 r.



Ks. Biskup Andrzejewicz.
Sufragan Gnieźnieński.



Ks. biskup Likowski
sufragan poznański

Pomnik Ujejskiego we Lwowie.

Dnia 8 grudnia b. r. nastąpiło odsłonięcie pomnika natchnionego piewcy „Melodyi biblijnych“ i „Chorału“. Pomnik jest dziełem cenionego rzeźbiarza lwowskiego A. Popiela, którego portret zamieszczamy.



Pancerz Szczepanika.

Kilka lat leżała ta zabawka w szafie u wynalazcy i nikt się o nią nie zapytał. Dopiero po ostatnich zamachach w Bremie na cesarza Wilhelma, w Buffalo na Mac Kinleya naraz zaczęli się zgłaszać książęta, dyrektorzy, policyanci,.. i pancerz ochronny stał się sławną aktualnością.

Opowiemy pokrótce, co to jest. Przed kilku laty zjawił się u p. Szczepanika braciszek OO. Zmartwychwstańców Zegleń i przyniósł kawał tkaniny ze sznurków jedwabnych ręcznie wyrobionej, nawiniętej na karton. Tkanina ta stawiała opór kulom rewolwerowym, ale nie mogła być do niczego użytą, gdyż była grubą, ciężką, twardą, niepodatną. Szczepanik, który się ciągle tkactwem zajmuje, zaczął przemyśliwać i nad tem, czyby się przecież nie dało wyrabiać ochronnej tkaniny. — Wespół z Reiserem, słynnym dyrektorem szkoły tkackiej w Akwizgranie zbudowali nowy, umyślny warsztat, na którym można było już tkać makatę kulotrwałą, dosyć miękką i lekką, ale jeszcze jej nie można było spożytkować, gdyż jeżeli się cięło i szyło n. p. kamizelkę, to makata się strzępiła, a na szwach kule przechodziły. Schowano makatę do szafy. Po niejakim czasie jednak obmyślił Szczepanik nowy sposób tkania dywanów wypukłych, en relief i uzyskał na ten wynalazek patent. Wtedy przypomniał sobie pancerz, zastósował do jego wyrobu ten nowy wynalazek i dopiero teraz pancerz okazał się praktycznym, mogącym znaleźć wielorakie zastósowanie. Więc i na wyrób pancerzy, które tylko jeden Reiser utkać umie, także uzyskał patent. Z usiłowań Zeglenia nie zostało nic, prócz snrowejedwabiu. Był więc pancerz; do atelier



A. Popiel.

schodzili się ludzie, zwłaszcza dziennikarze, strzelali, uderzali sztyletami, lecz nikt ani przebić ani rozedrzeć go nie zdołał. I wisiałby sobie pancerz w szafie, gdyby nie mnożące się zamachy. Obecnie wiedzą już interesowani, że to świetna rzecz i zamawiają kamizele, kaftany, uniformy, paltoty, a wynalazca jeszcze dalsze wprowadza ulepszenia. Próby, doświadczenia, budowa warsztatu bardzo dużo kosztowały, więc też taki pancerz



Biust Ujejskiego dłuta Popiela.

musi być drogim; ale też życie ludzkie jest drogie.

Na rycinach naszych widać, jak pan Borzykowski, dyrektor patronami, strzela do opancerzonego urzędnika. Widać dym strzału, widać maleńkie zagłębienie, które kula zostawiła, odbijając się od miękkiego pancerza. Pokazujemy też jak wyglądają odbite kule. Pancerz mo że znaleść zastósowanie jako ochrona przeciw rewolwerom, i przeciw sztyletom; umyślnie sprowadzony siłacz zmachał się i spocił, a nie zdołał przebić tej dziwnej tkaniny pilnikiem ostro zakończonym, takim samym, jakim w Genewie ś. p. cesarzową Elżbietę zamordo-



Pancerz kulotrwały ze znakami od kul rewolwerowych.



Jedwabny pancerz kulotrwały systemu Szczepanika.

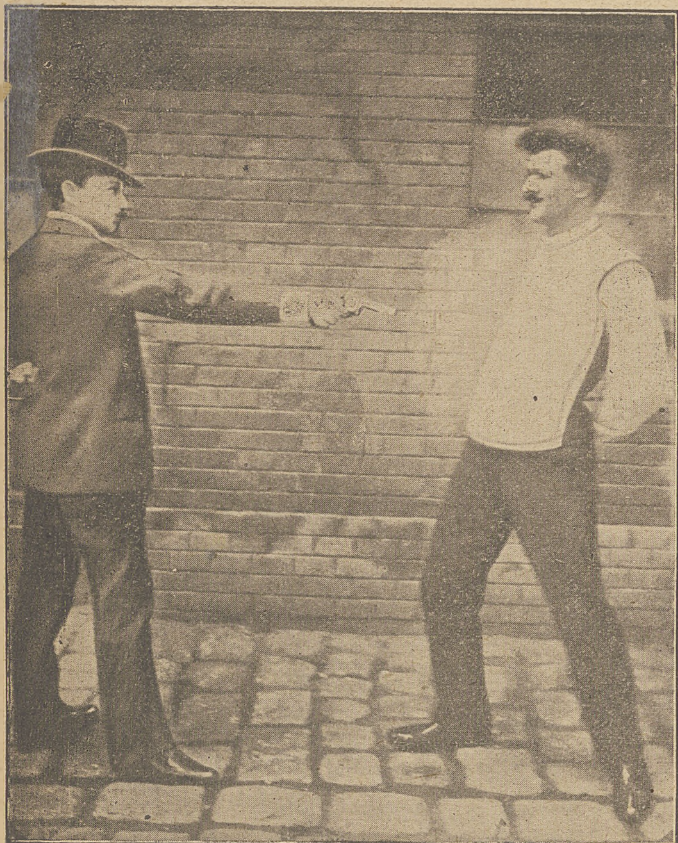
wano. W wielkich miastach znajdzie pancerz ten zastósowanie dla policyantów, pełniących służbę w niebezpiesznych załukach. Parawany z tej tkaniny, ale z podkładem cieniutkiej blachy stalowej, odbijają się i kule karabinów Manlichera. Może się więc jakieś dalsze jeszcze zastósowania praktycznemi okażą.



Strzał z rewolweru kalibru 7 mm. z odległości 3 kroków do pancerza kulotrwałego, który zawieszony jest na przedmiocie twardym (kula zdeformowana zupełnie).



Strzał z odległości 3 kroków do pancerza kulotrwałego na podkładzie miękkim (kula odpada od pańcecerza, nie uległszy żadnemu spłaszczeniu).



Strzał do pancerza kulotrwałego systemu Szczepanika.

Taką jest teorya wynalazku. Osobliwa tkanina z surowego jedwabiu (specyalne wiązania nici są pomysłem Reisera) sprawia, że siła uderzenia rozdziela się na boki i przez to słabnie; kula odpada, sztylet się ześlizguje, tkanina pozostaje nienaruszoną.



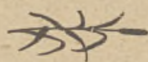
Ziemskie olbrzymy.

Po nad ziemią zwieszona dusza moja słucha
Przez gwiazd progi pieśń z ziemi wichr niesie [przewala
I pieśń idzie przestworzem niby szumna fala,
I pieśń idzie, drga, szumi, wichrami wybucha·

I cóż słychać w niej jakby targanie łańcucha
Jęk wysiłku z szumieniem się wichru zespala
Jak stłumione huczenie piorunu gdzieś zdala
Tak pień idzie potężna, niezmącona, głucha.

Oto ci, co na ziemi, to zaklęci byli
We śnie. — I grzmot ich zbudził i poczuli [moce —
W piersi piorun uśpiony niby w chmury łonie.

Więc się ciało olbrzymów wypręża i sili,
By z prochu wstać i podnieść ramię co druzgoce,
Bo wstyd im, że moc mając, myśleli o zgonie



„Kołysanka."

(„Borceuse" Szopena).

Było to jesienią. W cbłodny deszczowy wieczór koło 7 godziny na stacyi kolei miasta X. wpadł pociąg błyskawiczny, idący prosto z Wiednia. Otwarto drzwi peronu, z których pośpiesznie wypadła spora gromadka osób i podążyła do wagonów I klasy. W oknie jednego z nich ukazała się postać młodego człowieka, ku któremu biegły wszystkie spojrzenia.

W blasku latarni kolejowych odbijała bardzo wyraźnie wyniosła postać o bladem pociągłem obliczu; długie blond włosy spadały w nieładzie na wysokie czoło, w którem gorzała para bystrych źrenic o smutnem zadumanem spojrzeniu.

— Witamy! Witamy! — ozwały się radosne okrzyki zebranych, wyciągały się ku niemu ramiona, dłonie, biegły uśmiechy, z kobiecych rączek rzucony padł pod jego stopy bukiecik świeżych kwiatów.

Przybywało ciekawych, lecz on zdawał się nic nie słyszeć, nic nie widzieć; spokojnie zeszedł ze stopni wagonu, podał rękę kilku bliżej stojącym, słów kika powiedział obojętnych i pośpiesznie wśród tego gwaru poszedł do salonu I klasy, poczem nz zapytanie jednego z panów, czy życzy sobie natychmiast odjechać do hotelu, odpowiedział twierdząco i zaraz skierował się ku wyjściu.

Przed drzwiami stała bogata kareta udzielona przez jednego z miejscowych magnatów do usług „Mistrza". Tak on był Mistrzem tonów; pod jego ręką fortepian stawał się jakimś cudownym, czarodziejskim instrumentem, który poruszał setki, miliony serc do żywszego bicia! Jego gra mistrzowska podbiła świat od krańca do krańca, kładła mu pod stopy wieńce, oklaski, zaehwyty i miłość serc kobiecych; ona uczyniła go bogaczem, dla którego dostępnemi były wszelkie dostatki i zadowolenia zbytkownego życia bez troski o jutro.

Był mistrzem, nie brakło mu nic... nic, otaczało go uwielbienie, uznanie, podziw i hołdy panujących, piersi jego zdobiły oznaki honorowe wszelkich krain, nosił zaszczytne tytuły, tłum wielbił go, znawcy przed grą jego chylili czoło z pokorą, a jednak serce jego przejęte było bólem i tęsknotą niezmierzoną, gdy oto po latach wielu, pokonany prośbą kilku przyjaciół, przyjechał do rodzinnego miasta, które dotąd omijał z uporem.

Jechał teraz w stronę hotelu; tam przebrawszy się, wprost miał się udać na salę koncertową, gdzie go oczekiwano z upragnieniem i niecierpliwością. Ale jemu nie spieszno było do tych tłumów, które sprowadziła po części bezmyślna ciekawość i żądza nowości; tak mało znalazłby tam takich, którzy odczuli by go prawdziwie, którzyby zrozumieli całą głębię jego serca. Pojmowali jego artyzm, poili się harmonią tonów i wiedzą jego, bo był mistrzem, ale mistrz był też człowiekiem; bili mu oklaski, składali hołdy, ale on, ten wielki też miał przecież takie samo człowiecze biedne serce, jak i inni, które kiedyś w tem mieście rodzinnem napojono goryczą i zatruto jadem zwątpienia i obojętnością! Wracał jako zwycięzca, ale teraz zwyciężały go wspomnienia przebytych tu cierpień, co mu serce złamały, ale woli i hartu duszy nie ugięły; dlatego dumny i obojętny spoglądał na tłumy, dlatego w spojrzeniu jego nie było wesołości. — Kareta zatrzymała się w bramie pierwszorzędnego hotelu; w drzwiach stali nowi wielbiciele i znajomi z lat dawnych, każdy garnął się do niego, każdy przypominał się jego pamięci. Mistrz szybko biegł do nu-

meru i dopiero swobodniej odetchnął, gdy znalazł się sam na chwilę. Przebierał się szybko; godzina była późna, myśli jego ciągle pracowały, wspomnienia tłoczyły się do głowy, serce żywiej mu biło, w oczach dziwna przebijała myśl jakaś. Spojrzał gorączkowo na zegarek, brakowało pół godziny do rozpoczęcia koncertu, nagle nowe widocznie powziął postanowienie, gdyż zarzucił pospiesznie futro i szybko schodził po schodach, kareta czekała, zwrócił się do służącego, który trzymał drzwiczki, ze słowy:

— Jechać prędko za rogatkę „W“, powiem, gdzie się zatrzymać.

Zdziwiony służący zatrzasnął drzwiczki, poszeptał coś z woźnicą i ruszyli szybkim kłusem.

Wiedzieli oni kogo wiozą i gdzie jechać mieli w tej chwili, to też wydany rozkaz wprowadził ich w nieopisane zadziwienie, ale posłuszni rozkazowi zamiast ku sali koncertowej, pędzili w stronę alei. Wkrótce minęli gwar miasta, puste aleje i pędzili dalej. Po 10 minutach, kiedy już minęli rogatkę koło parkanu, który otaczał jakieś małe drewniane, domki na dany znak kareta się zatrzymała i mistrz wysiadł. — Deszcz padał ciągle, wiatr szeleściał smutnie resztkami opadających liści, pusto było w około i ciemno, lecz on nie czuł bojaźni, przeszedł kilkanaście kroków, zbliżył się do wysokiego muru otaczającego duży ogród; mur był zakończony wieżycką, a w niej mała furtka, prowadziła do ogrodu; pchnął furtkę i zwrócił się na prawo. Stał tam maleńki domek drewniany o dwóch okienkach i wiejskim ganeczku.

Domek był stary, zapadły w ziemię, biedny zniszczony, z potłuczonych szyb okienka wiało jakieś grobowe zimno na rozpaloną twarz mistrza. Stanął, oparł się o słup ganeczka i chciwie zatopił spojrzenie we wnętrzu.

Przed jego oczyma zamajaczyła śliczna blada twarzyczka najmilszej niegdyś w życiu istoty...... Zdaje się, że to wczoraj było, a to już tak dawno... tak strasznie dawno! Byli oboje młodzi, kochali się serdecznie i nie mieli sił żyć bez siebie, wszakże oni tak jak wszyscy na świecie mieli prawo do szczęścia! Z wiarą, z ufnością w przyszłość poprowadził ją do ołtarza, a potem do skromnego gniazdka. Jak ptacy niebiescy bujali w krainie szczęścia, muzyki i pieśni, ale świat nie lubi patrzeć na cudzą radość, nie lubi odważnych, co chcą w życiu iść przebojem o własnych siłach! — Życie, troska o byt szybko ich zgnębiły, nikt nie miał dla niego uznania, zniechęcano go do pracy, wyszydzano młodzieńcze porywy, zabijano talent, usuwano od ust kawałek chleba! Przyszła bieda, stanęła u drzwi młodych małżonków, a ją jak kwiat podcięły burze życia i powaliły na łoże boleści. Przestała śpiewać ptaszyna.... umierała choć ją tulił do gorącego serca, choć czarem swoich melodyi rozbudzał do życia. Była wiosna, stary doktór pokiwał głową wziął go na stronę, ale widząc niedostatek, zaledwie mógł wypowiedzieć co by ją uratować mogło. „Tak tak zmiana klimatu, ciepłe ożywcze powietrze... Włochy... Riviera!“ On nie miał na to pieniędzy, ale zdołał kosztem wielkich wysiłków i pracy przewieść żonę za miasto, gdzie ją otoczyła cisza, złudzenie wsi, zapachu pól i łąk.

Tu w tym maleńkim domku spędziła ostatnie chwile, tu grywał jej ulubionego Szopena, tu nie raz uroczą „Kołysanką“ uśpił ją i czuwał nad snem, który by jej siły wrócił, a jemu szczęście. Ale niestety było już za późno, burza przeszła, zniszczyła, zmiotło jak huragan młode życie! — Zbolały, zaledwie żywy oderwał się od jej grobu i z resztkami sił poszedł dalej walczyć między obcych.

Ona kazała mu pracować, ona pragnęła sławy dla niego, on był dumny, postanowił zwyciężyć i oto był „mistrzem.“

Ale mistrzowi nie wolno ulegać żadnej słabości.... trzeba zamknąć ból w sercu, trzeba przełknąć łzy żalu za zniszczonem szczęściem, wszystko trzeba złożyć na ołtarzu „sztuki.“

Mistrz ustami przylgnął do zimnego drzewa, o które niegdyś przed laty opierała się jej ukochana rączka, potem raz jeszcze spojrzał na smutne pamiątki i krokiem ociężałym wrócił do karety.

Za chwilę dumny, obojętny, wyniosły, przyjmował powitania i hołdy tych, co go może kiedyś mijali obojętnie, tych, co w skromnym pracowniku sztuki nie przeczuli mistrza, tych, co widząc jego walkę o byt, nie podali mu życzliwej dłoni. — Dziś bili mu oklaski pobici wielkością jego, pokonani czarem artyzmu, potęgą bijącą z każdego tonu. „Kołysanką“ Szopena upoił niewieście serduszka i tłumy widział u stóp swoich.

Miał wszystko, czego zapragnąć może śmiertelnik, sławę, dostatki, uznanie, wieńce, liczne i pałace... ale on oddałby to wszystko, żeby przywrócić życie tej, która zwiędła jak biedny kwiatek w małym domu za miastem!

L. Z....a



O mowo polska!

O mowo polska! mowo rozśpiewana
W pieśniach poetów, w historyi stuleci,
Otoś jest teraz na pastwę wydana:
Dławią cię w piersi naszych drogich dzieci.

O mowo polska! mowo naszej ziemi
Krwią przesiąkniętaś — otóż przemoc wroga
Chce cię nam wydrzeć, byśmy byli niemi;
Nie wolno tobą modlić się do Boga.

Lada ptak nuci swą melodyą polną,
Każdy dźwięk wolny wśród świata przestworzy
Tobie się tylko odezwać nie wolno
W państwie „porządku i miłości Bożej.“

Ale cokolwiek naród jeszcze spotka
Nie zginiesz nasza ty umiłowana
Mowo praojców. rodzima i słodka,
Wyssana z mlekiem, z mogił podsłuchana!

Ty myśli polska, tobie teraz trzeba
W duszach się wszystkich zestrzellć protestem,
Póki zmężniała nie tryśniesz pod nieba
Wielkim okrzykiem: oto żyję! jestem!

E. K.



A... B... C...

Obrazek w I akcie

przez Rawicza.

Jan Horski były ochotnik z powstania	lat 60	
Janina Karnicka wdowa	lat 30	Jego córki.
Zofija Horska	lat 18	Jego córki.
Tadzio synek Janiny	lat 6	
Schulc ajent policyjny	lat 40	
Józef Lewitzky wyższy urzędnik policyi	lat 30	

Rzecz dzieje się za naszych czasów na Śląsku w mieście w mieszkaniu Horskiego. Lato 6 g. wieczór. Pokój skromnie umeblowany. Drzwi wejściowe w środku w głębi. Z prawej strony w rogu pokoju małe skryte drzwi zakryte zapuszczoną ciemną portyerą, przed niemi słup i wazon z kwiatami. Po lewej drzwi, okno z prawej i lewej strony firanki i kwiaty. Biórko, fotel, pianino. —

SCENA I.

Horski — Janina — Tadzio.

Horski *(siedzi w fotelu przy nim Tadzio ogląda obrazki),*

Byłeś dziś grzeczny Tadziu, więc mama pozwoliła ci oglądać te obrazki, które sama dla ciebie rysowała, ale że każda przyjemność, moje dziecię, powinna być połączoną z pożytkiem i nauką więc powiedz mi Tadziu, co przedstawia ten obrazek?

Tadzio.

To jest Tadeusz Kościuszko, wielki wódz polski i bohater, na pamiątkę którego Mama i Tata nazwali mnie Tadeuszem. Dziadziu ja też pójdę na wojnę, jak dorosnę, ja już zebrałem sobie żołnierzy, Walek i Antek Józefowej pójdą ze mną, będziemy się bili za kraj!..

Horski.

Pociecho ty moja, jeszcze czas na ciebie, teraz ucz się, pracuj, a nadewszystko pamiętaj nigdy przy obcych nie mówić o wojnie i Polakach. Wszak jesteś rozumnym chłopczykiem i wiesz, że mógłbyś tem zrobić wielką przy-

kroć mnie, Mamie i Zosi. W sercu, tam w głębi jego zachowaj wszystko to, co od nas usłyszysz, mieszkasz wśród wrogów, nie wolno ci uczyć się z polskich książek. W szkole uczą was innej mowy, uczą szanować, każą kochać tych, co nam zabrali Ojczyznę i wypędzili tysiące braci naszych na chłód i głód, na tułaczkę i nędzę.., w szkole każą kochać tych, co więzili księży naszych, każą kochać tych, co nam ziemię naszę, naszę polską, świętą ziemię z pod nóg usuwają!.. Wszędzie otoczeni jesteśmy szpiegami, zabroniono nam dzieci nasze uczyć polskiej mowy, tej mowy, której cudny wdzięk każdego za serce chwyta. Tadziu w szkole nie mów też, że prócz mamy i Zosi uczy się polskich liter i pieśni polskich...

Tadzio.

Oh! Dziaduniu, ja o tem nie powiem nikomu, chociaż wiesz, dziś ten brzydki pan stał przed szkołą, kiedy wychodziliśmy do domu, potem szedł za mną i pytał, co ja robię, jak wrócę do domu, czy Zosia lub też mama nie mają takiej książki z obrazkami, gdzie są zupełnie inne litery, jak w szkólnej, czy mama nie śpiewa mi, jak idę spać, piosenek o żołnierzach z szabelkami? Ale ja się nic nie bałem dziadziu, powiedziałem mu, że jak wracam ze szkoły, zaraz idę spać, a mama nigdy nie śpiewa, bo zawsze bardzo smutna!..

Janina *(siedzi przy oknie zajęta haftem).*

Ojcze mój! Ojcze widzisz znów nas śledzą, nie pomogła zmiana mieszkania, ani to tajemne przejście, łączące nas z pokojem Józefowej. Czy znów będzie trzeba wyrzec się nadziei nauczenia tych biednych dzieci polskiej rodzinnej mowy? A ja się tak cieszyłam, że wkrótce same odczytają słowa pieśni, które śpiewają już tak pięknie. Ten — Karaluch uwziął się na nas, dlaczego, dlaczego on nas tak prześladuje?

Horski.

Uspokój się Janinko, nic się jeszcze nie stało, nie mamy żadnej pewności; Tadzio może go nie poznał, przenieśliśmy się przecież w inne stony, prawie za miasto, zkądże by Karaluch aż tu nas wyśledził, to pewno nie był on, wszakże ci panowie z oddziału śledczego zawsze przyczepiają się do dzieci wychodzących ze szkoły, żeby śledzić, co z sobą mówią po polsku. W każdym razie od dziś sam będę chodził po Tadzia, nie trzeba dziecka narażać na takie badania.

Janina.

Być może mój ojcze, że masz słuszność, ale pomimo to ja nie wyrzeknę się moich lekcyi. Tadziu schowaj tekę na miejsce i idź zobacz, czy dzieci zebrały się już u Józefowej. *(Tadzio chowa tekę z obrazkami do biurka, Janina idzie do słupa, uchyla portyery, w głębi widzi małe drzwi, puka do nich, drzwi się otwierają, Tadzio tam wchodzi, portyera zapada).* Zosi jakoś nie widać, egzamin się przeciągnął, czy tylko aby wróci z pomyślną wiadomością?

Horski.

Dlaczegoż by nie, uczyła się dobrze tyle lat, nie mają racyi odmówić jej patentu na nauczycielkę. Poczciwe dziecko, jak ona się cieszy, że niedługo zacznie zarabiać na siebie. A jednak wolałbym, żeby tego nie robiło, trudno mi się pogodzić z tą myślą, chociaż żyjemy skromnie, to co mamy, jakoś nie zupełnie wystarcza, trzeba też myśleć o przyszłości. Ciężko oh, ciężko na sercu będzie patrzeć staremu żołnierzowi, jak jego córka uczyć będzie w obcej mowie dzieci naszego wroga!

SCENA II.

Horski — Janina — Zofia.

Zofia.

(Wpada na scenę w mundurku uczennicy z paczką książek i kajetów, które rozrzuca po całym pokoju.)

Wiwat! Skończone! Niech żyje Zofia Horska! Wiwat!

(Rzuca się na szyję ojcu, dusi go, całuje, potem leci do Janiny, porywa ją, i okręca po pokoju.)

Janina.

Waryacie! Puść mnie, dosyć tego... no mów jakże, wszystko dobrze?

Zofia.

Dobrze, wybornie! znakomicie! A teraz sza... chwila uroczysta! Pozwólcie sobie Państwo przedstawić „Panna Zofia Horska, osoba wielce ważna i poważna, czyli skończona panna na wydaniu. *(Kłania się, podnosząc brzeg sukienki, ale spostrzega, że sukienka krótka.)* O nie, tak dalej być nie może, Janiu, daj mi zaraz twoją długą suknią, ja nie mogę tak teraz kompromitować mojej godności... prędko, prędko daj...

Janina.

Zaczekaj trzpiocie, sukienkę dostaniesz jutro nową, długą, którą ci sama uszyłam w tajemnicy, ale dziś zostań jeszcze naszą małą kochaną Zośką, jutro powitamy w tobie pannę Zofiją, towarzyszkę wspólnej pracy, trosk i nadziei, czy zgoda?

Zofia.

Zgoda, zgoda zatem, dziś pozwólcie mi być Zośką w całem tego słowa znaczeniu. *(Siadła ojcu na kolanach, rękę podaje Janinie, która stoi obok nich.)* Drodzy moi! Ojczulku! Janiu! Kocham was, o kocham z całego serca i duszy, nie ma ofiary, nie ma poświęcenia, do którego nie byłabym zdolną dla waszego szczęścia i spokoju, bo wam zawdzięczam wszystko, każda myśl moja zacna, poczciwa, waszem jest dziełem. Wy uczyliście mnie mojej mowy rodzinnej, od was poznałam dzieje naszego biednego narodu, a tam wśród tych obcych na szkolnej ławie przez lat tyle, zawsze pamiętałam, że jestem Polką. Jeżeli pracowałam i uczyłam się ze wstrętem tych wszystkich mądrości w innej, nie miłej mi mowie, to tylko dlatego, że chciałam wam kiedyś być pomocą, tobie ojcze umilić życie, a poczciwej Jani ulżyć w pracy.

Horski.

Bóg ci zapłać dzieweczko za twoje dobre chęci, praca jest potrzebną, ona uszlachetnia, odgania złe myśli, chroni od nieszczęścia i rozczarowań życia. Lecz śpij spokojnie, dziecię drogie, stary ojciec czuwa nad tobą, tymczasem nie jest jeszcze tak źle z nami, znajdzie się tam grosz jakiś na ładną sukienkę dla naszej dorosłej panny. — A teraz dosyć tego, 7-ma się zbliża, co to jest, że Tadzio nie wraca?

SCENA.

Horski — Janina — Zofia — Tadzio — dzieci.

(Podnosi się portyjera, wchodzi Tadzio, a z nim dzieci ubogo, ale czysto ubrane. 4 dziewczynki i 3 chłopców, wszyscy w wieku od 6 do 10 lat. W głębi widać starą kobietę, która stoi chwilkę, potem znika, drzwi się zamykają, portyjera spada.)

Zofia.

Wiwat niech żyje polska szkoła! *(dzieci się kłaniają).* Janiu pozwól mi, o pozwól dziś się zastąpić, muszę się wprawiać w powagę. *(Janina daje znak, że się zgadza, siada przy oknie z robotą po prawej, Horski zapala fajkę i siada w fotelu, dzieci zbliżają się na front sceny i robią wszystko na komendę Zofii).* Równaj się narodzie! *(Dzieci stają szeregiem, Tadzio pierwszy, potem dziewczynka, chłopczyk itd.)* Najpierw mały egzamin. Kim jesteśmy?

DZIECI.

Polakami!

ZOFIJA.

Gdzie żyjemy?

DZIECI.

Na Polskiej ziemi, ziemi Ślązkiej nam branej!

Zofija.

Co jest naszym obowiązkiem?

Dzieci.

Uczyć się polskiej mowy, kochać kraj i pracować nad wydobyciem polskiej ziemi z rąk obcych!

Zofija.

Dosyć! teraz do roboty. *(Tadzio bierze tabliczkę czarną z biurka i kredę, podaje to Zofii; ona pisze na tabliczce duże A... B... C.,, i dzieciom pokazuje.*

D z i e c i.

A... B... C... *(dzieci coś mówią cicho między sobą).*

T a d z i o.

Ciociu oni proszą, żeby mogli teraz zaśpiewać.

Dobrze śpiewajmy.

(Janina idzie do pianina akompanijować).

D z i e c i *(śpiewają I strofkę)*

„Boże coś Polskę przez tak długie wieki...

(W pokoju zmrok zapadł, słońce zachodząc oświetla śpiewające dzieci).

SCENA IV.

C i ż s a m i — K a r a l u c h.

Dzieci śpiewają, drzwiami środkowemi wchodzi Karaluch, ma na sobie długi płaszcz podróżny, brodę przyprawioną i czapkę na oczach naciśniętą)

K a r a l u c h *(głośno).*

Przepraszam...

(Wszyscy przestraszeni oglądają się, dzieci rozbiegają się po pokoju).

K a r a l u c h *(zmienionym głosem).*

Przepraszam... drzwi były otwarte, więc wszedłem... czy się nie omyliłem... jestem w domu pana Horskiego... Jana Horskiego żołnierza z polskiego powstania?

H o r s k i *(wstaje zadziwiony).*

Tak jest, nie mylisz się pan... ale kogoż mam przyjemność... czem mogę służyć?

K a r a l u c h (*z obłudą)*

Jesten... jestem podróżny... zmęczony drogą... pozwólcie mi odpocząć... wchodząc, słyszałem pieśń śpiewaną przez dzieci,.. pieśń polską.

J a n i n a *(przestraszona)*

O nie! mylisz się Pan... dzieci się bawiły, ale nie śpiewały, nic nie śpiewały.

K a r a l u c h *(czule).*

O nie obawiaj się mnie pani, ja nie szpieg! Ja Polak, bardzo nieszczęśliwy Polak. Oh! jakże to miło usłyszeć swoją pieśń... wracam z wygnania, długie lata tułałem się po świecie... mnie tam o panu mówili, przysłali do pana... (*wszyscy patrzą na niego nieufnie).*

J a n i n a.

Proszę, spocznij pan *(Karaluch siada nieśmiało przy drzwiach, ale po pokoju rozgląda się badawczo).* Zosiu podaj panu szklankę mleka. *Zofija ze stolika bierze mleko, podaje mu, on pije).*

K a r a l u c h.

Dziękuję... serdecznie. Łaskawy pan ma dwie śliczne córeczki i pracowite, one mają szkołę, co? Ach! to dobrze, jak to dobrze uczą dzieci po polsku, co? Mówiono mi, mówiono, że tu teraz zabronili uczyć dzieci po polsku, A, niegodziwcy i wszędzie was śledzą, kary płacić każą. To pewnie sobie tak w domu w tajemnicy... a to dobrze... Boże wam błogosław w pracy!..

Z o f i j a *(gorączkowo).*

Ależ nie... nie, tu nie szkoła... my nikogo nic nie uczymy, dzieci przychodzą bawić się do naszego Tadzia.

K a r a l u c h.

Nie obawiaj się piękna panienko, ja swój, Polak, ja tam na wygnaniu męki cierpiał a wy mi nie wierzycie. Odpychacie od siebie (*ze łzami uduszenia)* Nie dacie nacieszyć się polską mową? (*Wszyscy wzruszeni patrzą na niego przychylniej*). Dobra panienko pozwól dzieciom zaśpiewać dla biednego męczennika, bardzo proszę?

(*Chwila milczenia, potem Zofija daje znak dzieciom*).

Z o f i j a.

Równaj się narodzie! (*Dzieci stają jak poprzednio, Janina idzie do pianina grać.*)

D z i e c i *(śpiewają).*

Jeszcze Polska nie zginęła — — — *(jednę strofkę).*

K a r a l u c h.

(Kiedy nikt na niego nie patrzy, zrywa płaszcz, brodę, czapkę, ma na sobię mundur policyi śledczej).

Precz... precz... *(wpada między dzieci, roztrąca je, dzieci z krzykiem rozbiegają się po pokoju, ogólne przerażenie, poznają — Karalucha.,. Horski zrywa się, Janina opiera się o pianino, stoi jak skamieniała, Zofija pada na krzesło prawie omdlała).*

Ah! Verfluchte Polaken... a wy dusze polskie... rewolucyoniści, dam ja wam polskie pieśni... ja wam pokażę polskie nauki! Precz cała nauka... *(do Zofii)* Ja tobie teraz pokażę „równaj się narodzie“ *(do Janiny)* Ah! ślicznie, ślicznie, pani Karnicka szkołę polską założyła! Uciekłaś mi pani, a widzisz ja ciebie pani wynalazłem — aha! Verehrte Dame... polska bohaterka!

H o r s k i.

Panie dosyć tego, nie znieważaj pan kobiet... bo...

T a d z i o.

Idź precz ty szkaradny : : : : : : : nie dam ci mojej mamy *(tuli się do matki),*

K a r a l u c h (*spostrzega tabliczkę na biurku).*

Aha! a co... nie uczysz pani, nie... a to co? No, mów pani! Also sagen Sie, verehrte Dame? No dalej, broń się pani!

J a n i n a.

To... to.,, to wzór, litery do haftu.

K a r a l u c h.

Dummheit, grosse Dummheit! kłamstwo! Ah! a te dzieci? Co, na co tu tyle dzieci? A może to pani te wszystkie dzieci, co?

J a n i n a.

To dzieci sąsiadów... przychodzą d… mego syna! dla zabawy!

K a r a l u c h.

Zum spielen? Ja, ja, ja, sehr gut Ah! Ha! ha! to pani Karnicka wielk… dama, „eine Gräfin“, urządza Kinderbal no, no, no! *(biegnie do portyery, u…… widać drzwi),* Und dass... was ist denn dass? Sagen Sie... mów pani, no, no!

J a n i n a.

To... to...

K a r a l u c h.

Still, meine Dame, schon genug... ja ja wiem, wiem od dawna już o wszystkiem, tylko dziś przyszła mi myśl zrobienia pani takiej małej wizytki, eine kleine Visite do szkoły polskiej na egzamin. Ja znam wasz śliczny język, znam a i szkoła, szkoła śliczna! Teraz ja spiszę raport do mego naczelnika, a pa… dostanie nagrodę! Już oni tam p… dadzą dobrą nagrodę, wy ją sobie … brze popamiętacie wszyscy i ojciec i pani i siostra. *(do dzieci)* A wy precz ca… paczka *(popycha ich do głównych drzwi)* Ja was znam i waszych rodziców te… będą oni mieli polską naukę *(dzieci wybiegają, z niemi Tadzio).* Teraz proszę się zabierać, pójdziecie państwo ze mną (*kłania się z elegancyą ironiczną*). Ich habe die Ehre, meine schöne Damen... proszę, proszę ze mną, pójdziemy sobie na spacer . — einen kleinen Spaciergang!

(*Wszyscy troje stoją przerażeni*).

No cóż, czy państwo słyszą? Kreutzdonnerwetter! Nie mam czasu. Also Fräulein (*potrąca Zofiją*).

H o r s k i.

Na Boga, nie dotykaj pan mego dziecka, bo...

J a n i n a.

Precz, jak pan śmiesz!

Z o f i j a (*tuli się do nich*).

O! Boże! mój Boże!

SCENA V.

C i ż s a m i. — L e w i c k i.

L e w i c k i (*wbiega środkiem pośpiesznie*).

Dzięki ci Boże, w sam czas przybyłem!

K a r a l u c h.

Pan tu, panie Lewicky... po co? dlaczego?

L e w i c k i.

To ja muszę pana zapytać, co pan tu robisz... co robią ci ludzie pańscy tam u drzwi mieszkania mojej narzeczonej?

H o r s k i, J a n i n a, Z o f i j a (*razem zadziwieni*).

Narzeczonej?

K a r a l u c h.

Pańskiej narzeczonej, panie Lewicky? Masz pan narzeczoną Polkę?

Lewicki.

To nie pańska rzecz! Jeszcze raz pytam, co pan tu robisz?

Karaluch.

Co robię... przyszedłem tu spisać raport, a tych państwa zaprosić do mego naczelnika, tu jest tajna szkoła, a narzeczona pana posiedzi sobie tam u nas jakiś czas!

Lewicki.

Milcz pan! Jak śmiesz mówić tak do mnie, pan chyba jesteś pijany?

Karaluch.

Czy pijany, czy nie pijany, to wszystko jedno, ale raport zaraz spiszę (*siada przy biurku i pisze. Lewicki zbliża się do Zofii i mówi do niej głosem przyciszonym*).

Lewicki.

Pani pozwól sobie słów kilka powiedzieć (*Horski i Janina oddalają się w głąb pokoju*). Wszak znasz mnie pani, wiesz, kto jestem?

Zofija.

Tak panie, widziałem pana kilka razy w domu koleżanki mojej Lizy Szmid... ale na Boga co znaczą te słowa, które pan przed chwilą powiedziałeś? Ja pańską narzeczoną... narzeczoną Niemca? Pan chyba od zmysłów odchodzisz?

Lewicki.

Przyszedłem panią ratować. Przechodząc koło domu waszego, zobaczyłem wartę policyjną u drzwi i zaraz zrozumiałem, co to znaczy. Karaluch zwierzał mi się dawniej z podejrzeń swoich, wiedziałem, co wam grozi, lecz nie miałem prawa mu tego bronić, teraz nie zważając na nie, przychodzę panią ratować! Ciebie i Twoją rodzinę.

Zofija.

Ależ... co znaczy to, żę ośmielasz się pan nazywać mnie swoją narzeczoną? Ja Horska! narzeczoną Niemca i urzędnika policyi! Nigdy! —

Lewicki.

Milcz pani przez litość, żeby on tego nie usłyszał! Jestem Niemcem dla tych, co mnie nie znają, dla tych, co mi zmienili nazwisko, ale duszę mam polską. Rodzice moi byli Polakami, oni przed śmiercią nauczyli mnie rodzinnej mowy, nauczyli kochać kraj i być uczciwym człowiekiem. Po ich śmierci biedny sierota bez środków do życia przechodziłem różne koleje, starano się ze mnie zrobić Niemca, musiałem uledz, by nie umrzeć z nędzy, ale mi nie wydarto pamięci! — Widziałem panią u Lizy Szmid i... pokochałem całem sercem, dziś chociaż to może nieszlachetnie z mej strony, postanowiłem spełnić moje marzenia. Trzeba ratować Ciebie i Twoją rodzinę... pani, ja to uczynię, ale żądam nagrody... pani musisz być moją!

Zofija.

Nie... nie... nie mogę... ja żoną pana... nie... ojciec...

Lewicki.

To dla nich właśnie, dla ojca trzeba się poświęcić.. błagam panią, ja będę taki dobry... tak będę kochał panią... Więc tak, powiedz tak! Miejże litość nad niemi i nad sobą, inaczej zginiecie!

Zofija.

Dla ojca, dla Jani i Tadzia! Boże dodaj mi sił! Panie Lewicki, oto moja ręka!

Lewicki.

Dzięki ci.. dzięki, a teraz do dzieła! Karaluch (*skończył pisać i wstaje*).

Nö schon gut, alles fertig! A teraz proszę ze mną moi państwo.

(*Zofija idzie do ojca, siostry rozmawiają z sobą głośno, potem cicho.*)

Zofija.

Później... później powiem wam wszystko, a teraz milczenie, trzeba się ratować, ojcze pomyśl o Jani, o Tadziu, co by się z nimi stało!

Horski.

Wielki Boże miej nas w opiece!

Lewicki.

Panie Karaluch, pozwól sobie powiedzieć, że nie jesteś zbyt uprzejmym dla mojej narzeczonej i jej rodziny, dla jakichś tam przewidzeń, dla drobnostki narażasz ten zacny dom na tak brzydkie posądzenie!

Karaluch.

Posądzenie? Ależ ja widziałem, słyszałem, spisałem raport. Tu jest szkoła polska, o widzisz pan polskie litery! (*podaje mu tabliczkę*).

Lewicki.

Mylisz się, panie Karaluch... panie kolego.. ja tu jestem codziennym gościem, wiem zatem najlepiej... a te litery...

Janina.

To wzór do haftu!

Lewicki.

Tak... tak... wzór, ja sam to wczoraj rysowałem.

Karaluch (*zbity trochę z tropu*).

Pan... pan sam... a... te dzieci, czy to także wzory, co?

Zofija.

Te dzieci przychodzą do Tadzia...

Lewicki.

Tak.. tak przychodzą się bawić, a jeżeli co śpiewały to tak, ot bez myśli, zwyczajnie jak dzieci, wierzaj mi pan.

Koraluch (*coraz bardziej zbity z tropu.*)

No, no być może... ale ja jednakże raport wolę podać... zresztą zrobię to dla pana i damy zostawię w domu, ale na pańską odpowiedzialność panie Lewitzky!

Lewicki.

O! tak to lubię, panie kolego, a teraz jak dobrzy przyjaciele wypijemy sobie po dobrym koniaku, co dobrze? za zdrowie mojej narzeczonej, no zgoda! (*cicho do Zofii*) Prędzej podaj pani wódki, koniaku, byle co, w tem jedyny ratunek...

Zofija.

Natychmiast! (*wychodzi szybko z Janiną, za chwilę wracają i przynoszą butelkę koniaku, kieliszki i zakąskę na tacy*).

Karaluch.

Also... no, no donnerwetter, więc się pan żenisz panie Lewitzky. Piękną masz narzeczoną, każda Polka piękna, tylko każda... naiwna, one mają w głowach tylko polskie fraszki... Kościuszkę... kosynierów... i różne wymysły Wielkopolskie. Powiedz pan tak między nami, czy im tu źle u nas?

Lewicki

(*dolewa mu ciągle, stara się spoić, sam mało pije.*)

Zdrowie pana, panie Karaluch, no jeszcze kieliszek!

Karaluch i Lewicki siedzą przy stole, na froncie sceny stopniowo zapada większy zmrok, wschodzi powoli księżyc, światło jego wpada do pokoju i rozjaśnia głąb sceny. Horski, Janina i Zofia są ciągle w głębi.)

Karaluch (*wesoło.*)

Zdrowie pana i pańskiej narzeczonej, chociaż to Polka, ale pan ją przerobisz na naszą, prawda? (*Lewicki nalewa znów koniaku.*) Nie, nie, nie będę już pił, trzeba odnieść raport (*chce wstać, Lewicki go trzyma za rękę.*)

Lewicki.

Jeszcze czas na ten raport, odpocznij pan trochę... jeszcze kieliszek. Co się pan tak uwziąłeś na ten polski język, pan sam przecież tak dobrze nim władasz, ja bo co innego, ja się tu urodziłem, ale pan jesteś z Berlina podobno?

Karaluch.

Ba! Kreutzdonnerwetter musiałem się nauczyć, bo mi to w służbie potrzebne... psia służba, nigdy spokoju z tymi Polakami!

Lewicki.

To też pogadajmy sobie troszkę... proszę jeszcze kieliszek. (*Karaluch spojony coraz weselszy.*) Panie Karaluch... kolego... ja mam prośbę do pana... pan nie zrobisz mi tej przykrości, nie oddawaj raportu naczelnikowi... o cóż panu idzie... cóż widziałeś, co słyszałeś... nawet świadka nie masz! A że dzieci sobie śpiewały, no to cóż, czy u was dzieci nie śpiewają?

Karaluch

(*dobrze zaprószony*),

A to pyszne żarty... oho! u nas dzieci inaczej śpiewają... a te tu... co to one śpiewały... aha! „Jeszcze Polska nie zginęła!“ Aha! ha! ha! nie zginęła, ale... zginęła, bo tu nasz kraj... pyszny

koniak... also noch ein mal... zdrowie pana... (*pije.*)

Lewicki

(*Idzie do Zofii.*)

Teraz może mi się uda... ale tyś moja panno Zofijo, pamiętaj!

Zofija

(*patrzy na niego zalękniona ze wstrętem, potem patrzy na ojca i mówi z rezygnacyą.*)

Tak... jam twoja. —

Lewicki.

Niech ci Bóg za to słowo nagrodzi! A teraz do dzieła (*idzie do Karalucha*). No więc zgoda, panie kolego, tego raportu pan nie podasz naczelnikowi.. pokaż pan, gdzie on jest?

Schulc (*chce wstać, ale mu trudno — lecz oddaje raport*).

Zur Befel Herr Comisar.

Lewicki (*drze papier*)

Tak, a teraz napisz pan inny raport, ten wręczysz naczelnikowi.

Karaluch (*potakuje ciężką głową.*)

Lewicki (*przynosi z biurka papier itd.*)

Pisz pan: „Ich habe die Ehre anzugeben, dass im Hause des Horski ich nichts verdächtiges gefunden habe... dobrze a teraz podpisz pan (*Karaluch podpisał, Lewicki składa raport i kładzie sam do kieszeni Karalucha.*) No wszystko już w porządku, kiedy przyjdzie do przytomności, nie będzie umiał oprzeć się tak przekonywającym dowodom, zresztą będę czuwać nad nim. (*Do Karalucha.*)

Chodź pan... pożegnaj grzecznie te panie, tego pana i przeproś ich za awantury, które tu robiłeś przed mojem przyjściem!

Karaluch

wstaje, Lewicki podaje mu palto i czapkę, Karaluch mówi grzecznie.

Adieu... bonjour... dowidzenia Madame, Monsieur...

(*Chwieje się, Lewicki wypycha go za drzwi, on się wraca*).

Verzeihen sie.. pardon.. pardon.. par.. don.. (*wychodzi.*)

SCENA VI.

Horski — Janina — Zofia — Lewicki, potem Tadzio i dzieci.

(*Po wyjściu Karalucha jasność księżyca zalewa cały pokój. Lewicki idzie do Zofii, która przestraszona mówi błagalnie.*)

Zofia.

Panie Lewicki! Oh, Boże! Boże mój.. ja.. ja nie mam sił ja.. nie..

Lewicki (*smutnie.*)

Nie kończ panno Zofio, ja wiem, co się w sercu twojem dzieje, chciałaś się poświęcić dla rodziny, dla ojca, ale zabrakło ci sił na tę ofiarę, biedne dziecię! Uspokój się pani, zwracam ci słowo, bądź swobodną i szczęśliwą.. nie żądam tej ofiary, dość już łez polskim kobietom wycisnęli wrogowie, a ja przecież też jestem Polakiem! Pójdę w świat, unosząc na zawsze w sercu i w pamięci twój obraz świetlany, a kiedy mi już bardzo ciężko przyjdzie żyć bez ciebie, pomyślę wtedy, że moim bolem okupiłem twój spokój, bądź szczęśliwą, zdaleka czuwać będę nad wami. Mam tylko jednę prośbę, panno Zofio... na pożegnanie pozwól mi usłyszeć pieśń polską, śpiewaną przez polskie dzieci. O nie odmawiaj mi tej radości, uniosę te dźwięki w sercu i zachowam je do śmierci w pamięci!

Zofia (*wzruszona.*)

O! dobry! szlachetny człowieku, to duch twojej matki natchnął cię tak wzniosłem sercem. Bóg ci zapłać za wszystko, co dla nas... co dla mnie uczyniłeś!

(*Idzie do ukrytych drzwi, wychodzi Tadzio i dzieci stają jak poprzednio. Horski i Janina ściskają rękę Lewickiego. Janina idzie do pianina, Zofia stoi przy dzieciach. Światło księżyca oświetla jasno ją i dzieci. Lewicki staje w drzwiach. Dzieci śpiewają: „Boże coś Polskę...“*

Lewicki.

Zostańcie z Bogiem! (*Znika za drzwiami. Dzieci dalej śpiewają, zasłona spada powoli.*)



Dział kobiecy.



Już prorok Izajasz wspomina, że piękne córy Jerozolimy nosiły siatki, kolczyki, łańcuchy, naramienniki, sznury, flakoniki z pachnidłami, pierścionki, zasłony, torebki ręczne, przepaski na włosy, lusterka, płaszcze i suknie ozdobne. W komedyi Plantusa „Epidicus“ pyta stary Peryfanes, czy ukochana jego żona wystawiona mu jako osoba ubierająca się nadzwyczaj strojnie i zgodnie z modą, nosi *mendiculum impulviatum?* Niewolnik Epidicus zrozumiał *impluvium* i woła zdumiony: „Jakże może kobieta na sobie całe podwórze nosić?“ „Dlaczego nie? — odpowiada stary — wszak niektóre z kobiet całe majątki ziemskie na sobie noszą!“ Wie także Peryfanes, iż niewiasty zmieniają rokrocznie nazwy swych strojów, zapewne na podstawie dziennika mód z czasów drugiej wojny punickiej, wylicza bowiem cały szereg nazw takich. „Ba, nawet nazwami psów mianują swoje stroje!“ — kończy.

Putyfara Faraonowa zmieniała stroje trzy razy dziennie, aby się skromnemu Józefowi przypodobać. Jak wiemy, nie osiągnęła pożądanego wyniku, ale panie egipskie przyjęły modę swej władczyni i przebierały się trzy razy dziennie.

Częste zmienianie nazw strojów praktykowało się prawdopodobnie także dla obejścia praw przeciwko zbytkowi, bo prawa takie istniały od niepamiętnych czasów, ale zbytków nie powstrzymywały. Żona Likurga, autora praw takich, pierwsza prawo przez małżonka ustanowione przestąpiła. Biblia zakazuje wszystkim ludziom noszenia ubiorów, w których nici lniane mieszane są z wełnianemi. W Rzymie zakaz taki istniał tylko dla małżonki kapłana świątyni Jowisza, Plaminicy. W całym obwodzie, poświęconym Persefonie w Lykosurze w Arkadyi, nie wolno było nosić sukien czarnych lub w kwiaty, pierścieni i innych ozdób złotych. Kto się z niemi pojawił, musiał oddać je na rzecz świątyni.

Florentynki XIV wieku, jak opowiada Sacchetti, zmieniały także nazwy strojów dla obejścia praw takich. Wzywane do sądu, potrafiły wykręcać się tym fortelem od kary. Nieraz też próbowały znosić prawa, skierowane przeciwko strojom. Rząd florencki zabronił im np. stósowania się do mody, nakazującej noszenie fałszywych loków z żółtego i białego jedwabiu, a nazwanej przez kronikarza Villarego modą nieprzyzwoitą i sprzeczną z prawami natury. Gdy jednak książę Kalabryi, syn króla Neapolu, przybył w 1326 r. do Florencyi, wysłały Florentynki do jego małżonki deputacyą i uzyskały zniesienie prawa tak dla nich nieprzyjemnego.

Gdy w roku 1452 przybyła do Sienny księżniczka Eleonora portugalska, narzeczona cesarza Fryderyka III, rada miasta zniosła na jeden dzień prawa przeciwko zbytkowi, aby niewiasty Sienny mogły w całym blasku powitać dostojnego gościa. Na czele pań, wydelegowanych do powitania księżniczki, stanęła uczona Baptista Berti i wyborną oracyą w języku łacińskim wyraziła księżniczce hołd niewiast sieneńskich. Olśniona tą uczonością narzeczona cesarza zapragnęła okazać swą łaskę i spytała, co życzy sobie uczona niewiasta w zamian za tak miłą niespodziankę. Baptista Berti odrzekła, że życzy sobie,

aby jej, ale tylko jej jednej w Siennie, dozwolone było nosić zawsze stroje zbytkowne, pomimo zakazu rady miejskiej. Żądanie jej wypełnione zostało.

Zali nie zdrajczynią wobec swych obywatelek była owa uczona niewiasta? Niestety, przypadki takie zdarzają się często w dziedzinie mody.

Mniej więcej w tym samym czasie na lubującym przepych dworze burgundzkim powstała moda noszenia kołpaków wysokich na łokieć w kształcie głowy cukru, z welonem, koronkami ozdobionym, który, do szczytu kołpaka uczepiony, spadał na grzbiet i suknią. Strój ten nazywał się Hennins i znalazł przeciwnika gorliwego w osobie karmelity, ojca Tomasza Conacta. Duchowny ten kazał gorliwie przeciwko kołpakom, a gdy kazania nie pomagały, namawiał uliczników, aby okrzykami: Hennin! Hennin! prześladowali damy w kołpakach. I stało się, że damy zaprzestały kołpaków używać, gdy kilku z nich uliczniсy kamieniami stroje te z głów pcstrącali; zaledwie atoli ojciec Tomasz wyniósł się z miasta, moda z pierwotną gwałtownością powróciła.

Bardziej uległą okazała się królowa Marya hiszpańska, gdy bowiem w r. 1683 papież Inocenty XI zakazał pod groźbą ekskomuniki noszenia sukien dekoltowanych i bez rękawów, nabożna królowa rozkazała posyłać wszystkie swe nowe suknie do nuncyusza w Madrycie dla osądzenia, czy odpowiadają przepisom Watykanu.

W Weronie przyszło niemal do wojny domowej z powodu krynoliny. Na dworze paryzkim zrodzona moda noszenia sukien o obwodzie olbrzymim przyjęła się tak we Włoszech, że gdy dnia 4-go lipca 1773 r. na balu publicznym w Weronie kilka pań w sukniach bardziej obcisłych wystąpiło, starsze niewiasty, oburzone taką według nich nieprzyzwoitością, opuściły salą. Stąd wojna, w której całe miasto udział wzięło tak gorący, jak wówczas, gdy chodziło o sprawy Montecсich i Capulettich. Gubernator napróżno starał się nieporozumienie zażegnać, wreszcie oparła się sprawa o senat rzeczypospolitej weneckiej. Suplikę, wystosowaną przez amatorki szerszych spódnic do poważnego areopagu, zredagował słynny matematyk Torelli, oświadczając w niej między innemi, że sprawą, o którą chodzi, „jest ważna nadzwyczajnie i godna, aby się nią zajęli mężowie bezstronni“. Senat uznał ważność sprawy i powierzył ją dla zbadania Ludwikowi Manio, obranemu następnie dożą Wenecji, w końcu zaś wydał wyrok zaiste rozumu pełen: Większe krynoliny na święta i niedzielę, mniejsze na dni powszednie. Historyk nie wspomina atoli, czy wyrok ten miał być obowiązujący dla całej rzeczypospolitej, czy też tylko dla rodzinnego miasta Julii.

Nic niema nowego pod słońcem. Moda krynolin, odnowiona przez piękną cesarzową Eugenię, obleciawszy świat cały, wywołała też walkę, tym razem lekarzy, estetyków i moralizatorów. Mniej więcej w lat piędździesiąt powtarza się ta sama historya, to przeciwko krynolinom, to gorsetom, to wreszcie ogonom u sukien, ale moda nic sobie z tego nie robi i panuje wciąż wszechwładnie.

Jeden ze starych komentatorów Dantego powiada o Florentynkach, że żaden artysta, ni rzemieślnik nie używał tylu przyrządów i preparatów, co one do swej toalety. „Przeciwko małemu wzrostowi używały wysokich obcasów, ciemną cerę potrafiły zamienić na jasną, bladą twarz zarumieniały, czarne włosy przerabiały na złote, zęby bieliły, biust zmniejszały“.

Dante skarży się nietyle na stroje drogie, ile na zbyt ujawniające wdzięki jego rodaczek, a mnich Augustjanin, ojciec Filip z Sienny, opowiada o pewnej pani, co miała zwyczaj bielić się i różować, iż zjawił się u niej dnia pewnego szatan pod postacią garderobianej i ubielił oraz uróżował ją tak, że gdy prawdziwa garderobiana nadeszła, twarz pani była całkiem czarna. Zobaczywszy to w lustrze, pani zachorowała i w trzy dni umarła, wydając woń nieznośną. Także małżonka doży Dominika Selvo (1071 r.) miała uledz takiej samej chorobie, a to za to, że jadała złotemi sztabkami (czy nie widelce?), nosiła rękawiczki, zmywała twarz rosą, używała maści wonnych. A może kronikarze brali przyczynę za skutek, bo jak Michelet (*La sorciere*) opowiada, średniowieczni rycerze i ich bogdanki myli się bardzo rzadko; Chateaubriand zaś w pamiętnikach swych wspomina o starej markizie de Coislin, która na początku zeszłego stulecia wyraziła się, że tylko parweniusze posiadają wiele bielizny. „My damy dworskie — powiada margrabina — posiadałyśmy tylko po dwie koszule; używałyśmy ich, póki się nie zdarły, i wtedy nabyłyśmy nowe, ale nosiłyśmy suknie jedwabne i nie wyglądałyśmy jak gryzetki“.

Ta moda już chyba nigdy nie powróci.

M. P.

HUMORYSTYKA.

KTÓRY?

Historya najprawdziwsza pod słońcem.

Około figlarnej, a pięknej Kloci kręciło się stale trzech adoratorów: Wyjski — tenor, Klepacki — poeta i Brzękman — bankier. Kręcili się, jak dotychczas, na równych, to jest, mówiąc, wyraźniej, na żadnych prawach; figlarna Klocia tak mile patrzyła na tenora, jak wdzięcznie rozmawiała z poetą, a nalewała herbatę uprzejmie bankierowi.

Aż nareszcie... „Trójprzymierze“ znudziło się najwidoczniej.

— Trzech, to dobre w towarzystwie, w miłości najlepszy jeden! zadecydowała Klocia pewnego pięknego poranku i...

— Panowie! — rzekła seryo, patrząc na otaczającą ją trójkę wielbicieli — kto potrafi mnie najlepiej zabawić jutro, ten zostanie wybranym przezemnie!

— Ona będzie moją! — krzyczał prawie na cały głos po wyjściu na ulicę Wyjski.

— Ona będzie moją! — wołał z przekonaniem Klepacki.

Bankier szedł, chłodny jak zwykle i — milczał.

. . . .

Nazajutrz Wyjski zerwał się o 8 mej rano, co było dotychczas niebywałym wypadkiem w jego trybie życia. Łyknął tuzin jaj na surowo i żywo zabrał się do wystudyowania najnowszego romansu p. t. „Musisz serce dać w podzięce“, aryi z „Zielonego koguta“ i waryacyi na temat marsza „Już po mnie!“ Ukończywszy tę mozolną czynność około 11-tej, odpoczął chwilę, ubrał się i podążył do raju: mieszkania Kloci. Tam w myśl wyrażonego wczoraj przez Klocię życzenia rozpoczął się popis. Zaledwie jednak Wyjski dobrnął do drugiej części aryi z „Zielonego koguta“, gospodyni domu schwyciła się za... uszy i wcale niedwuznacznie dała śpiewakowi do zrozumienia, że lepiej będzie, jeżeli stanie się... nieobecnym.

W godzinę potem zjawił się Klepacki. Miał wygląd silnie melancholijny, bo nie spał tej nocy wcale, tworząc poemat i ucząc się jego deklamacyi. I począł, nie tracąc czasu, darząc Klocię mową bogów... Po sto dwudziestej strofce słuchaczka ziewnęła potężnie, zadzwoniła i kazała przybyłej służącej... podać panu Klepackiemu palto.

A bankier tymczasem nie myślał o żadnych przygotowaniach. Spał smacznie do godziny 11-tej, jak zwykle, potem przeczytał poranne dzienniki, poszedł na giełdę, zrobił parę drobnych interesów, spożył obiad, wstąpił do jubilera, wybrał śliczny garnitur brylantowy, zapłacił, włożył do kieszonki i punktualnie, podług swego zwyczaju, o 6-tej dzwonił do drzwi Kloci.

. . . .

Bankier nie śpiewał i nie deklamował, lecz potrafił zabawić kapryśnicę najlepiej; dziś jest stałym i jedynym wielbicielem figlarnej-pięknej Kloci.

Czy nie słusznie w swym głębokim aforyzmie woła Szekspir:

— O, kobiety! kobiety!

Pociecha.

— Panie! pan mi wyrwał zdrowy ząb!....

— Phi! pan myśli, że zęby to wieczna rzecz? I ten zacząłby się z czasem psuć i dokuczać panu... Lepiej, że go dyabli wzięli.



Nr. 50. **Praca.** Rok 5.
Dodatek Powieściowy.

Tajemnicza zbrodnia

Oryginalnie przetłomaczył z francuskiego dla „Pracy"

Empa.

(Ciąg dalszy.)

— Ferenbach? — powtórzył z niedowierzaniem. — Zkąd ona pochodzi! z Lotaryngji?

— Nie, z Austryi. — Mieszka tu od kilku tygodni i ma dobre znajomości w kolonii cudzoziemców. Bywa u Wellheima, owego znanego wiedeńskiego bankiera, u Polsonów i u innych wybitnych osób. Więcej jeszcze przemawia na jej korzyść śliczny pałacyk na ulicy świętego Dominika. Musi to być niezmiernie bogata kobieta.

W tejże chwili rozpoczęto grać uwerturę i niedługo potem podniesiono kurtynę, Gaston jednak, zamiast patrzeć na scenę, nie spuszczał oka z baronowej. Nagle spostrzegł, że drzwiczki loży otworzono i ku jego największemu zdumieniu stanął obok pięknej kobiety kuzyn jego, hrabia Lucyan de Plessis Saint Luc!

Lucyan spostrzegł natychmiast Gastona i uprzejmem uśmiechem pozdrowił go zdaleka.

Młody książę odkłonił się. Nie wiedział on, czy wypada mu w międzyakcie odwiedzić kuzyna, którego nie lubił, ale dziwne podobieństwo baronowej z Violą zajęło go tak niezmiernie, że postanowił przypatrzeć jej się z blizka.

Nazwisko Ferenbach zaraz mu też podpadło — wszakże zakonnica Gabryela wymieniła je z prośbą, aby poszukał w Paryżu jej siostry, którą tak kochała, a od wielu lat żadnej nie miała wiadomości. Wytworna i piękna baronowa miała wprawdzie być Austryaczką, ale mogła tu zachodzić jakaś omyłka. Bądź co bądź musiał się jak najprędzej o wszystkiem dowiedzieć i o ile możności wypełnić przyrzeczenie, dane siostrze Gabryeli.

Po skończeniu pierwszego aktu udał się natychmiast na górę.

Lucyan zdawał się czekać na niego, wyszedł mu bowiem naprzeciw i obydwaj spotkali się na ganku, przed lożą.

— Jesteś, nareszcie, — zawołał, podając mu rękę. — Nie pamiętam już doprawdy, kiedy cię po raz ostatni widziałem.

— Nie moja to wina — odrzekł Gaston — wiesz przeciesz gdzie mieszkam.

— Myślisz, że mam cię odwiedzać w domu tego starego gbura Lemarche? Nigdy w życiu!

— W takim razie mogłeś napisać, abym się stawił w jakiej winiarni...

— Tak, tak, zamierzałem to uczynić, ale wahałem się...

— Od kiedy jesteś taki nieśmiały?

— Od czasu, gdy innym stałem się człowiekiem — odrzekł Lucyan, zdążając stanowczo do celu. — Muszę ci wyznać, że zamierzam się ożenić.

— Ach! — zawołał Gaston zdziwiony — i to może z tą piękną kobietą w loży?

— Tak. Jest to baronowa Ferenbach-Bückler, wdowa po ogromnie bogatym austryackim posiedzicielu dóbr i fabryk. Poznałem ją w Szwajcaryi, pokochałem i powiedziałem sobie, że albo ona zostanie moją żoną, albo też wcale się nie ożenię. Jest to kobieta nietylko bardzo piękna, ale nadto wykształcona, dobra, miła — jednem słowem, posiadająca wszystkie przymioty i zalety, mogące męża uszczęśliwić! Przyrzekałem jej wzajemność, a że w pierwszem małżeństwie nie miała dzieci, przeto związkowi naszemu nic zgoła nie stoi w drodze. W tych dniach ogłoszę moje zaręczyny, a ślub nastąpi zaraz potem...

— Winszuję ci i życzę szczęścia — rzekł Gaston. — Ale powiedz mi, znasz dokładnie wszystkie stosunki familijne twej przyszłej żony?

— Jak możesz o tem wątpić! Poinformowałem się zupełnie dokładnie i wszystko jest w porządku — zapewniał Lucyan. — Powiedziałem jej zresztą, że jesteś moim kuzynem, wypada mi więc przedstawić cię. Pójdź i przekonaj się sam, czy wybór mój przyniesie zaszczyt naszej rodzinie.

Gdy Gaston z Lucyanem weszli do loży, podniosła się baronowa natychmiast i przeszła natychmiast do maleńkiego saloniku, graniczącego z lożą od strony ganku.

— Droga baronowa — rzekł Lucyan — przedstawiam ci twego przyszłego kuzyna, księcia Gastona de Lacroix-Marburg. Opowiadałem ci już tyle o nim, że nie będziesz go pewnie uważała za obcego sobie...

— Hrabia ma słuszność — przerwała piękna kobieta z uprzejmym uśmiechem. — Każdy krewny jego ma z góry prawo do mej sympatyi i spodziewam się, że skoro się lepiej poznamy, to zawrzemy przyjaźń z sobą!

Baronowa mówiła wybornie po francuzku, ale akcent jej zdradzał cudzoziemkę. Gaston patrzał z zachwytem na jej śliczną. lekko zarumienioną twarzyczkę, która z blizka więcej jeszcze przypominała mu Violę. Jak szczęśliwym był Lucyan, że pozyskał serce tej uroczej kobiety!

— Będę się starał okazać godnym tego zaszczytu — zaczął Gaston po niemiecku, ale Lucyan przerwał mu natychmiast.

— Nie rozumiem ani słowa — zawołał żywo — a chcę przecież wiedzieć, o czem rozmawiasz z Ellą.

Gaston zadrżał mimowoli. Ella Ferenbach! Tak samo nazywała się siostra zakonnicy, czy to wszystko więc było znakomicie odgrywaną komedyą?

Lucyan nie przeczuwał myśli kuzyna. Cieszył się, że Gaston był uprzejmym dla jego narzeczonej i postanowił go więcej jeszcze ująć pozorną serdecznością.

— Kiedy zjesz z nami śniadanie? — zapytał wesoło. — Widzę, że baronowa chciałaby cię chętnie zaprosić, uprzedzam ją więc i proszę cię do niej, chociażby pojutrze!

— Ach tak — przerwała Ella — przyjdź pan! Cieszyłabym się niezmiernie! Mieszkam na ulicy św. Dominika, pod numerem 295.

Pomimo podejrzenia, jakie Gaston powziął ku pięknej baronowej, nie mógł odmówić zaproszeniu i przyrzekł, że przyjdzie.

— Więc pojutrze o dwunastej — powtórzyła raz jeszcze Ella.

Drugi akt rozpoczął się teraz, Gaston pożegnał zatem baronową i Lucyana i zamiast wrócić na salę, udał się wprost do garderoby po płaszcz i kapelusz. Cała ta sprawa zaniepokoiła go niezmiernie, wolał więc iść do domu, niż siedzieć tu, pomiędzy znajomymi — przedstawienie zaś straciło dla niego wszelki urok.

Lucyanowi można było wszystkiego dowierzać, a nawet ożenku z awanturnicą, byleby tylko majętną była i pozwoliła mu żyć tak, jak tego od dawna pragnął. Ale chwilowo nie chodziło Gastonowi wcale o kuzyna — myśli jego wyłącznie zajęte były ową prześliczną kobietą, tak bardzo do Violi podobną. Czyż to było możliwem, aby ona mogła się poniżyć do takiego kłamstwa i oszustwa? Kto miał taką twarz, jak Viola, ten musiał mieć także szlachetne i czyste serce jak Viola, której usta nigdy jeszcze kłamstwo nie splamiły.

W każdym razie dziwny to był przypadek, że baronowa miała imię i nazwisko siostry zakonnicy!

Gdy Ella spostrzegła, że Gastona już w teatrze nie ma, rzekła do Lucyana:

— Zdaje się, że książę poszedł do domu. Czyżby się domyślał prawdy?

— Broń Boże — odpowiedział hrabia spokojnie — on jest na to zbyt naiwny! A chociażby się zresztą czegoś domyślał, co nam to szkodzi? Jestem przecież panem mej woli i mogę czynić to, co mi się podoba.

— Ale ja nie chciałabym się stać przedmiotem plotek albo skandalu!

— Pod tym względem możesz być zupełnie spokojną, Gaston plotkarzem nie jest. Nie lubię go wprawdzie, ale tę sprawiedliwość muszę mu oddać, że niedyskrecyi z jego strony nie potrzebujemy się ani na chwilę obawiać. Może on myśleć co chce, nigdy jednak nie powie po za naszemi plecami złego na nas słowa — jest to rzeczywiście dobry chłopiec.

— Wygląda też na takiego — szepnęła Ella zamyślona.

— Jak dziwnym tonem wymawiasz te słowa — zawołał Lucyan, śmiejąc się. — Mógłbym doprawdy być zazdrosnym! Czy Gastón tak bardzo cię zajął?

— Nie lubię podobnych żartów.

— Ludzie mówią: serce nie sługa! Ale naturalnie, żartuję tylko, — dodał Lucyan szybko, widząc zachmurzoną twarz narzeczonej. — Wiem przecież, że mnie kochasz i że mogę ci zaufać.

Ella pozostała jednak przez cały wieczór zamyśloną i na scenę wcale prawie nie patrzała. Posiadać szacunek człowieka takiego, jakim był młody książę, wydawało jej się największem szczęściem — ale szczęścia tego, niestety, nigdy ona zdobyć sobie nie będzie mogła! Ani pieniądze, ani piękność, ani wykształcenie, nie wrócą jej dobrego imienia i nie zatrą przeszłości. Ach, gdyby raz jeszcze rozpocząć życie..

— Idźmy już — zawołała nagle szorstko i zerwała się z krzesła.

Lucyan spojrzał na nią zdumiony, ale posłuszny, wstał także i w garderobie otulił ją starannie w sobolowy płaszcz, pokryty kosztownym aksamitem.

Ella nie podziękowała mu wcale i zanim się spostrzegł, zbiegła szybko ze schodów i zniknęła pomiędzy kolumnami.

— — — — — — — — — — — — — —

Nazajutrz rano pospieszył Lucyan do narzeczonej. Ella była dziś znacznie spokojniejszą, chociaż dziwnie smutną i przygnębioną. Na liczne i usilne prośby o wyjawienie powodu swego smutku, rzekła nareszcie:

— Boję się okropnie, że kuzyn twój zna całą prawdę i że... pogardza mną!

— Ależ o tem ani mowy być nie może!

— Nie powinnam była zatrzymywać nazwiska Ferenbach.

— Męczysz się niepotrzebnie takiemi przypuszczeniami, najdroższa. Nazwiska takiego nikt w Paryżu nie zna!

Pomimo tych zapewnień nie udało mu się rozchmurzyć czoła baronowej, to też rychlej niż zwykle, pożegnał ją dziś i wrócił niezadowolony do domu.

— Trzeba raz już ustanowić termin ślubu — rzekł sobie w duszy. — Takie kapryśne kobiety mogą się czasem stać niebezpiecznymi. Nie ma nic gorszego, jak zmienne ich usposobienie.

Ella tymczasem siedziała zamknięta w swoim pokoju i gorzkiemi zalewała się łzami. Ostatnie la.a, przepędzone w zupełnej samotności, nie pozostały bez zbawiennego wpływu na jej charakterze, a dawniejsza lekkomyślna aktorka, zapatrywała się teraz całkiem inaczej na świat i życie. Za jakąkolwiek bądź cenę pragnęła zdobyć sobie stanowisko i szacunek ludzi pragnęła tytułu, aby jako kobieta, należąca do najlepszego towarzystwa, mogła nowe rozpocząć życie i zapomnieć przeszłości — i już nieomal stanęła u celu, gdy nagle ukazanie się Gastona, zagroziło wszystkim jej zamiarom.

Lucyana nie kochała nigdy prawdziwie i chciała zostać jego żoną jedynie dla tytułu hrabiny, teraz jednak czuła formalny wstręt do niego.

— Jestem szaloną — myślała — że biorę sobie takiego męża! Charakter jego nie daje mi żadnej rękojmi szczęścia, którego tak bardzo pragnę! On chce tylko moich pieniędzy!

I przed oczami jej duszy stanął Gaston, młody, piękny, o twarzy wyrażającej szlachetność i prawość. — Ale wobec niego odegrała nędzną komedyą, jakże więc musiał nią pogardzać! Z rozpaczą załamała ręce, bo wszakże myśleć nawet nie było jej wolno o nim...

— O Boże! — jękła, ukrywając zapłakaną twarz w poduszkach kanapy — zdaje mi się, że rozum stracę! Czy będę dosyć jeszcze silną, aby przytłumić moje uczucia? Nie, muszę kłamać i oszukiwać dalej! Przyrzekłam Lucyanowi, że zostanę jego żoną, uczyniłam to dobrowolnie, nie mogę więc łamać słowa. Tem gorzej dla mnie.

I w najwyższym uniesieniu zerwała się z kanapy i zaczęła biegać po pokoju.

— Jakim będzie moje życie? — szeptała drżącemi ustami. — Oszustka! Awanturnica! Mężczyźni tacy, jak Gaston, nie są dla mnie stworzeni! Muszę go się wystrzegać, bo czuję, że z jego strony grozi mi wielkie niebezpieczeństwo! Ach, gdyby on żądał, abym dla niego wyrzekła się majątku i tytułu hrabiny, uczyniłabym to natychmiast, bez chwili namysłu! Ale nie, nie! Chcę być hrabiną — nie jestem przecież pierwszą, która w ten sposób zrywa z przeszłością! Życzeuie całego mojego życia musi się nareszcie spełnić!...

Gdy Gaston nazajutrz przyszedł około dwunastej do pałacu na ulicy św. Dominika, nie zastał jeszcze Lucyana u baronowej. Jeżeli Ella przez cały ten myślała młodym księciu, to i on nie mógł się pozbyć wspomnienia kobiety, tak podobnej do Violi, a tak pięknej i uroczej! Podejrzywał ją wprawdzie o kłamstwo, ale chociażby rzeczywiście była siostrą zakonnicy z Condy, to nie mógł jej bezwarunkowo potępiać.

Baronowa skromnie, lecz wytwornie, jak zawsze ubrana, przyjęła go w swoim buduarze.

— Widzę, że przyszedłem trochę zawcześnie — rzekł, patrząc na kosztowny zegar na kominku — i dla tego proszę o przebaczenie mi...

— O, jeżeli pospiech pana jest dowodem sympatyi dla mnie, to nie potrzebujesz przepraszać! Przeciwnie, cieszyłoby mnie to niezmiernie... — odpowiedziała młoda kobieta, rumieniąc się mimowoli.

Gaston spojrzał na nią badawczo.

— Tak — zawołał szybko, — czuję istotnie wielką dla pani sympatyą, może dla tego, że jesteś zadziwiająco podobną do osoby, która mi bardzo jest drogą i że nosisz nazwisko innej, której od dawna szukam daremnie.

Ella zbladła.

— Szukasz pan baronowej Ferenbach-Bückler? — zapytała cichym, drżącym głosem.

— Nie, baronowej nie! Szukam dziewczyny, nazywającej się tylko Elżbietą Ferenbach. Może być jednak, że wyszła za mąż i że obecnie inne nosi nazwisko. Jest ona siostrą pewnej zankonnicy w Condy, której przyrzekłem szukać jej!

— Dlaczego?

— Zakonnica, czyli siostra Gabryela, nie ma od wielu lat żadnej o niej wiadomości — to zaś, co słyszała przed dziesięciu mniej więcej laty, bardzo było smutne... Ona, jako zakonnica nie może jej sznkać. Może tylko modlić się za nią. Przyrzekłem więc tej szlachetnij kobiecie, będącej prawdziwem aniołem opiekuńczem biednych i chorych, zająć się poszukiwaniem zaginionej i jeżeli znajdę Ellę Ferenbach, jeżeli obawy jej siostry są uzasadnione, to powiem siostrze Gabryeli, że zbłąkana żałuje swych grzechów i że chciałaby zwrócić na drogę prawości i cnoty. Na pokutę nigdy nie jest zapóźno, nieprawdaż?

— Nie wiem! W każdym razie jesteś książę bardzo wyrozumiały, co się u mężczyzn twego wieku nie często zdarza!

— Poznałem już dosyć świat i życie, aby zrozumieć ludzi. Mniej grzeszą oni z zamiłowania złego, niż z potrzeby — nieszczęścia, niekorzystne stosunki, liczne przykrości — wszystko to staje się najczęściej powodem upadku. A kto raz już znajduje się na pochyłej drodze, tem trudno zwrócić się. Najwięcej żal mi kobiet, które same i opuszczone muszą staczać ciężką walkę o byt.

— O, pan jesteś dobrym i szlachetnym, wiedziałam o tem, szepnęła Ella ze łzami w oczach. — Chciałabym panu coś powiedzieć - dodała — ale nie teraz, — słyszę zbliżającego się Lucyana — przyjdź książę jutro o piątej, dobrze? Proszę o to, jak o największą łaskę!

— Przyjdę — odrzekł Gaston.

W tejże chwili wszedł hrabia i z wesołym uśmiechem przywitał narzeczoną i kuzyna.

— Spóźniłem się — zawołał swobodnie.

— A ja przybyłem zawcześnie — odparł Gaston. — Nie mamy sobie więc nic do zarzucenia.

Podczas śniadania była Ella niezwykle milczącą, Lucyan natomiast mówił nieustannie, śmiał się, żartował i był w najlepszem humorze. Gaston obserwował pilnie młodą kobietę i odgadywał przyczynę jej smutku i przygnębienia, w czem

go jeszcze więcej utwierdzało zachowanie się Lucyana. Hrabia krytykował ostro lub chwalił rozmaite potrawy i wina i wydawał służbie rozkazy, jak gdyby był tutaj panem domu, nie postępowałby zaś nigdy w ten sposób, gdyby Ella rzeczywistą była baronową.

Zaraz po śniadaniu pożegnał Gaston baronową.

— Nie jestem niestety, panem mego czasu — rzekł całując jej białą rękę i muszę wracać do fabryki.

— Znajomi odwiedzają mnie pomiędzy trzecią a piątą, zanim wyjeżdżam za sprawunkami — szepnęła Ella. — Czy mogę raz po raz liczyć na przybycie księcia?

— Skorzystam z największą przyjemnością z łaskawego zaproszenia!

Po odejściu Gastona zbliżył się Lucyan do narzeczonej i ujął jej ręce.

— Jesteś dziś tak bladą i smutną, najdroższa, że aż się niepokoję o ciebie — rzekł czule. — Boli cię głowa?

— O nie, czuję się tylko nieco osłabioną. Nie sypiam dobrze od pewnego czasu.

— Więc poślij po doktora.

— Nie mam zaufania do lekarstw!

— Więc powinnaś wyznaczyć nareszcie dzień naszego ślubu. Miłość moja i troskliwość będą najlepszem dla ciebie lekarstwem, — prosił Lucyan.

— Doprawdy? — zapytała Ella z tak jawnem szyderstwem, że Lucyan zdumiony, spojrzał na nią. I nagle opanował go szalony gniew i przez chwilę stracił zupełnie panowanie nad sobą.

— Co to znaczy? — krzyknął gwałtownie. — Czyś zmysły postradała? Wiedz, że nie jestem człowiekiem, który pozwala żartować z siebie. Czy ci mój piękny kuzyn głowę zawrócił i czy chcesz znowu odgrywać komedje? Widać, że zostaniesz zawsze tylko aktorką!

Ella stała, blada jak śmierć, a oczy jej błyszczały złowrogim blaskiem.

— Dosyć tego, — rzekła wyniośle. — Wyjdź stąd natychmiast!

Lucyan oprzytomniał i spokorniał.

— Żartujesz, najdroższa, — zawołał, zmuszając się do uśmiechu. — Nie gniewaj się na mnie, bo.....

— Dosyć już, — powtórzyła chłodno. — Dajesz mi przedsmak naszego przyszłego pożycia i właściwie jestem ci wdzięczną, że otworzyłeś mi oczy. Dzięki Bogu, nie jest jeszcze za późno.

— Ależ, na Boga, jak możesz brać na seryo kilka słów wymówionych w gniewie! Nie myślisz przecież zrywać naszych zaręczyn! Opowiadałem o tem wszystkim moim znajomym.....

— Cóż mnie to obchodzi! — przerwała obojętnie. — Przedewszystkiem chcę żyć w spokoju i zachować moją godność osobistą, a zanim się pozwolę obrażać od człowieka, który stokroć mniej wart jest, niż ja, wolę wobec całego świata wyznać prawdę i skończyć nędzną komedyą, do której odgrywania nakłoniła mnie śmieszna i fałszywa duma. Lucyan drżał z strachu. Ożenek z Ellą był ostatnią jego deską ratunku, po opuszczeniu bowiem fabryki pana Lemarche nie miał żadnego utrzymania i żył tylko z tego co mu Ella raz po raz dawała.

— Przepraszam cię — szeptał pokornie. — Przyznaję, że postąpiłem brutalnie, ale i ty mnie obraziłaś...

— Czem? Tem, że powiedziałam, że jesteś mniej wartą, niż ja? Ależ tak jest rzeczywiście! Śmiesz zarzucać mi moją przeszłość, a jednak bierzesz pieniądze od aktorki i na tych, to pieniędzach budujesz całą twoją przyszłość!

— Kocham cię tak bardzo, jestem zazdrosnym, i tylko zazdrość była powodem mego gniewnego uniesienia!

— O nie! Dałeś mi raczej dowód, jakim jest twój charakter! Gwałtowny brutalny.....

— Więc co mam uczynić, aby cię przebłagać i przekonać o mej miłości, — przerwał Lucyan z rozpaczą. — Żądaj czego chcesz, a wypełnię natychmiast każdy twój rozkaz!

— Dobrze! Na dowód, że żałujesz tego, co mi powiedziałeś, jedź do twego brata i proś go, aby przybył na nasz ślub!

— Mój brat.....

— Tak, żądam, aby twój brat, markiz de Plessis był na naszym ślubie, — powtórzyła Ella dobitnie. — Cóż dziwnego, że chcę poznać mego szwagra? Jeżeli jednak myślisz, że on zaproszenia nie przyjmie, to....

— Nie, nie, jutro zaraz jadę do Gaskonii i oznajmię mej rodzinie o naszych zaręczynach! Uczynię wszystko, co każesz. — Ella uśmiechnęła się zadowolona. Znajomość i pokrewieństwo z markizem otworzyłoby jej od razu wstęp do najarystokratniejszych salonów stolicy, a powtóre, o co jej teraz najwięcej chodziło — pozbywała się na kilka dni obecności Lucyana. Dla tego więc głównie postawiła ten warunek.

— Idź i przygotój wszystko do podróży, — rzekła też znacznie łagodniej. — Chciałabym teraz zostać samą.

— Mieliśmy przecież dziś być razem w teatrze!

— Nie wiem, czy brat twój zgodzi się na moją prośbę, dopóki zatem nie będę miała zupełnej pewności, nie pokażę się z tobą publicznie. Gdybyśmy zerwali nasz stosunek, to powinno wszystko odbyć się bez rozgłosu!

— Nigdy na to nie pozwolę, — zawołał Lucyan groźnie. — Wolałbym cię zabić!

— Wypraszam sobie podobne frazesy, nie wywierają one na mnie żadnego wrażenia, — rzekła Ella chłodno. — Żegnam cię — jedź do Gaskonii i przywieź mi twego brata — inaczej nie masz poco tutaj przychodzić!

— Lucyan odszedł, nie posiadając się z gniewu i przeklinając w duszy wszystkie kobiety, a mianowicie Ellę.

ROZDZIAŁ OŚMNASTY.

Na drugi dzień, z uderzeniem piątej, stanął Gaston w salonie baronowej.

— Czem mogę pani służyć? — zapytał uprzejmie.

Ella spuściła głowę, a po jej bladej, pięknej twarzy, spłynęły gorące łzy wstydu i upokorzenia.

— Wiem, że się pan domyślasz prawdy, — szepnęła, — i wobec pana kłamać dłużej nie mogę i nie chcę. Nie jestem baronową, nie mam żadnego prawa do tego tytułu, i od dziś nie będę już go używać.

— Dziękuję pani za to w imieniu siostry Gabryeli, bo wszakże jesteś jej siostrą? — rzekł Gaston serdecznie.

— Tak!

— Ona ani na chwilę nie przestała kochać pani, pomimo to, co jej opowiadano...

— O, gdybyś pan wiedział, ile ja wycierpiałam, — zawołała Ella, załamując ręce. Gdybym ci mogła opisać moją rozpacz, moje nieszczęście, — może byś mną tak nie gardził!

— Ależ ja panią nie gardzę ani cię nie potępiam — rzekł Gaston poważnie. — Miej tylko zaufanie do mnie, a nie pożałujesz tego!

— Gdy ojciec umarł, miałam zaledwie lat siedemnaście, — zaczęła Ella drżącym głosem. — Moja siostra była wówczas już nowicjuszką, majątku nie zostało ani grosza, tak, że byłam zupełnie sama na świecie. Wielkiem zdawało mi się być wtenczas szczęściem, że mnie pewna bogata kobieta, baronowa Sterneck, przyjęła za nauczycielkę do swej najmłodszej córki, ale poznałam wkrótce, że szczęście to bardzo było zwodnicze. Baronowa obchodziła się zemną gorzej niż z służącą, uczennica moja była złośliwa, tak, że niejedną godzinę przepłakałam w moim pokoiku na poddaszu. Ale w końcu przyzwyczaiłam się do wszystkiego i znosiłam cierpliwie wszelkie przykrości. Po upływie roku przybył na zamek syn baronowej, Huidon, na cały czas wakacyi uniwersyteckich, i raczył się mną zająć! Byłam młodą, ładną, a chociaż ojciec wychował nas surowo, to jednak nie czułam żadnego powołania do życia cichego i klasztornego, tak, jak moja siostra.

— Byłam młodą i niedoświadczoną, — mówiła Ella dalej — i hołdy barona pochlebiały mi niezmiernie, nigdy jednak nie byłabym mu okazała mojej wzajemności, gdyby mi nie był uroczyście przyrzekł, że się ze mną ożeni. Takie szczęście zawróciło mi głowę — pragnęłam szczęścia i nie wiedziałam, że zguba mnie czeka!

Gaston słuchał uważnie i litował się nad nieszczęśliwą, opuszczoną dziewczyną, a zarazem przyszło mu na myśl, w jaki sposób obchodziła się markiza Laura z jego siostrą!

— Sądziłam rzeczywiście, — zaczęła Ella znowu, — że baron Gaston kocha mnie szczerze i wierzyłam mu zupełnie! Ale ufność moja, — dodała, śmiejąc się gorzko, — została haniebnie zdradzona. Pewnego wieczora, gdy oboje siedzieliśmy w altanie w parku, stanęła niespodziewanie baronowa przed nami, i obrzuciła mnie samą tylko najokropniejszemi obelgami. Powiedziała mi, że moja zalotność wszystkiemu

winna, że podstępem chciałam usidlić niedoświadczonego chłopca i że mam natychmiast dom jej opuścić. Przerażona, oniemiała, nie miałam tyle siły, aby się bronić, Gaston zaś milczał i pozwalał mnie dalej obrażać!.., Jak schwytany na gorącym uczynku uczeń odszedł z matką, a ja zostałam sama, nie wiedząc, co z sobą zrobić... W pierwszej chwili chciałam się rzucić w jezioro, ale zabrakło mi odwagi...

Nazajutrz rano otrzymałam należne mi pieniądze i wyjechałam. Gastona nie widziałam już wcale, tego samego wieczora jeszcze wysłała go matka do krewnych do miasta, byłam więc sama, bezradna, bez opieki, rzucona literalnie na pastwę losu. Nie mając żadnych świadectw i poleceń, nie mogłam marzyć nawet o przyjęciu miejsca nauczycielki, i po długich staraniach udało mi się nareszcie pozyskać w Strassburgu, u pewnego kupca, miejsce piastunki! Z początku szło wszystko dobrze, ale gdy mnie raz pan domu pochwalił za pilność i gorliwe wypełnianie moich obowiązków, rozgniewała się żona jego, zaczęła mnie podejrzywać o zalotność, i uniesiona zazdrością, wypędziła mnie. O, jak okrutnie obchodzą się czasem ludzie z istotami słabemi i bezbronnemi, i potem dziwią się, że w sercach nieszczęśliwych budzą się złe instynkta!

Teraz chciałam zarabiać na życie szyciem i haftowaniem, ale pomimo najusilniejszych starań, mało miałam odbiorców, umierałam prawie z głodu. Nie wiem, co by się ze mną stało, gdybym przypadkiem nie była poznała żony dyrektora pewnej wędrownej trupy aktorów. Poczciwa kobieta zlitowała się nademną, zabrała mnie do siebie, a mąż jej, który był rzeczywiście bardzo zdolnym aktorem, wykształcił mnie i w jego to teatrze wystąpiłam po raz pierwszy pod przybranem nazwiskiem. O dalszych moich losach wolę milczeć, nie zaszło tam nic takiego, coby pana zajmować mogło. Okazało się z czasem, że mam wielki talent na artystkę dramatyczną, szczęście posłużyło mi nadspodziewanie, i pewnego dnia stałam się jedną z najlepszych aktorek paryskich. Jako taka pobieram wszędzie, gdzie występowałam, wysokie zapłaty, a mężczyźni zasypywali mnie kwiatami i brylantami. Wiedziałam, że jestem piękną, i że piękność jest potęgą, a że teraz nabrałam już doświadczenia i rozumu, przeto jednem mojem marzeniem było: stać się bogatą! I pod tym względem sprzyjało mi szczęście! Pewien ogromnie bogaty Brazylijczyk zakochał się we maie, ożenił się ze mną i wkrótce potem umarł, zapisując mi cały swój majątek. Miałam więc to, czego pragnęłam, ale nie byłam jeszcze zadowoloną. Oprócz pieniędzy pragnęłam sobie zdobyć stanowisko w świecie, dla tego wyrzekłam się sceny i żyłam w zupełnem odosobnieniu od świata, aby ludzie zapomnieli o mej przeszłości. Teraz jednak, gdy już jestem tak bliską celu, nie dbam o to... Poznałam Pana i wszelkie ambitne życzenia znikły. Czuję straszną próżnią w sercu, wiem, że wszystkie moje usiłowania są daremne, i że to, co zdobyłam, straciłam równocześnie: szacunek ludzi i szacunek samej siebie!

— Ależ możesz pani odzyskać jedno i drugie! Nie zapóźno jeszcze, — zawołał Gaston wzruszony. — Zapomnij o przeszłości i rozpocznij nowe życie! Użyj pani swego majątku na cele dobroczynne, pomagaj biednym, a nauczysz się sama siebie szanować i każda łza, którą otrzesz nieszczęśliwym, przyniesie ci błogosławieństwo! Wyobraź sobie szczęście twej siostry, gdy jej powiem: „Znalazłem tę, którą uważałaś za straconą. Rozpacz zepchnęła ją z dobrej drogi, ale teraz weszła znowu na nią i tak jak ty poświęca życie wzniosłym i szlachetnym celom, pocieszając strapionych i łagodząc cierpienia bliźnich! Kochaj ją, bo zasługuje na to!

Ella płakała głośno. Od wielu, wielu lat nikt w ten do niej nie przemawiał sposób, to też słowa Gastona były prawdziwym balsamem dla jej zbolałego serca. O tak, on miał słuszność, na drodze, jaką jej wskazał, było zbawienie — więc też postanowiła usłuchać bezwarunkowo jego rady. Nie przyszło jej na myśl, że głównie chodziło jej o szacunek Gastona, i że gdyby ktoś inny mówił to samo, nie wierzyłaby mu tak łatwo.

— Więc co mam czynić? — szepnęła pokornie.

— Niewiem doprawdy, jak pani poradzić, ale sądzę, że przedewszystkiem powinnaś na pewien czas wyjechać z Paryża, aby zerwać wszystkie dotychczasowe stosunki i znajomości.

— Tak, tak, masz pan szłuszność, — zawołała żywo. — Musiałabym tu przechodzić okropne sceny. Wyjadę natychmiast, powiedz mi pan tylko dokąd!

— Mój przyjaciel, pan Lemarche, opowiada mi często o jednej z swych znajomych, która utrzymuje z własnych funduszy dom dla chorych w Londynie. Pielęgnuje ich sama, opiekuje się niemi po ich wyzdrowieniu — może byś pani poszła za jej przykładem...

— Bardzo chętnie, — odrzekła po krótkim namyśle. — Mógłbyś pan się wystarać dla mnie o list polecający? Nauczyłabym się u niej wszystkiego, co potrzeba!

— Nie wątpię, że pan Lemarche napisze do niej. Tym sposobem nie dowie się nikt o miejseu pobytu pani, na moją bowiem dyskrecyą możesz liczyć bezwarunkowo. A gdy w Londynie zapoznasz się pani z nowemi obowiązkami, wtedy możesz wrócić do Paryża i urządzić tu podobny zakład miłosierdzia.

— Pomożesz mi pan....? — szepnęła nieśmiało.

— O ile tylko będę mógł! Przyrzekam pani nawet pomoc mej siostry i pewnej — młodej dziewczyny, która, da Bóg, zostanie moją żoną!

— Ah! Chcesz się pan żenić? — zawołała Ella drżącym głosem.

— Jest to mojem najszczerszem życzeniem, — odrzekł Gaston otwarcie.

Ella zamknęła na chwilę oczy, ale zaraz potem zwalczyła uczucie namiętnego bólu i podała Gastonowi rękę z swobodnym uśmiechem.

— Więc wszystko ułożone, — rzekła stanowczo. — Przyślij mi pan list pana Lemarch, abym jutro już mogła wyjechać. Przygotowanie do podróży załatwię w kilku godzinach.

— Jutro rano otrzymasza pani co potrzeba!

— Dziękuję i żegnam pana! Z Londynu napiszę do mej siostry — muszę uzyskać jej przebaczenie!

Po odejściu Gastona długo jeszcze płakała, ale były to łzy ulgi i szczęścia!

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY.

Gdy Lucyan przybył do zamku Tauzia, zastał brata samego w domu i zaraz też wyjawił mu powód swego niespodziewanego przyjazdu. Markiz Horacy, szlachetny i nieznający kłamstwa, uwierzył chętnie słowom Lucyana, który z prawdziwym zapałem opowiadał bratu o wdziękach i cnotach narzeczonej, zapewniając, że i majątek i urodzenie odpowiadają zupełnie wszelkim jego wymaganiom. Horacy cieszył się niezmiernie szczęściem Lucyana — i przyrzekł mu przybyć na ślub razem z Violą i Giną.

Lucyan nieposiadał się z radości. Wszystko szło lepiej, niż się tego spodziewał i już naprzód wyobrażał sobie zadowolenie ambitnej Elli, gdy ujrzy w swoim domu markiza i żonę jego.

Gdy już wszystko zostało obradzonem i ułożonem, rzekł Lucyan uprzejmie:

— A teraz nie będę ci dłużej przeszkadzał, Horacy. Zamierzam wrócić jutro do Paryża, chciałbym więc zobaczyć jeszcze Violę i Ginę. Gdzież one są?

— Viola wyjechała z wizytami w sąsiedztwo, — odpowiedział markiz, spoglądając z zadowoleniem na swoje książki, od których oderwało go przybycie brata,

— A Gina? Pojechała z Violą?

— Nie, zdaje mi się, że wyszła do parku.

Lucyan długo szukał swej bratanki i nareszcie znalazł ją na ulubionej jej ławce pod kasztanami, zaczytaną w książce, którą zwykle nosiła przy sobie w małym, na kluczyk zamykanym koszyku.

Gina zmieniła się bardzo w ostatnich czasach. Zamiast chudego, niezgrabnego podlotka, ujrzał Lucyan śliczną, wysmukłą jak topolka dziewczynę, o białej, delikatnej twarzyczce otoczonej bujnemi, jasnemi włosami i ozdobionej wielkiemi, ciemnemi błyszczącemi oczami. Małe czerwone usta wyrażały energią, a cały wyraz twarzy przypominał niezmiernie matkę i dziatka. Lucyan zdumiał. Urok młodej i pięknej kobiety, na jaką zamieniło się dziecko, wywarł głębokie na nim wrażenie.

Usłyszawszy szelest zbliżających się kroków, podniosła Gina oczy i spojrzała na stryja, który zmieszany, szedł ku niej z wyciągniętą ręką. Dziewczę siedziało nieruchome i nikt nie byłby mógł odgadnąć, jakie myśli cisnęły się teraz do jej ślicznej złotowłosej główki.

— Cóż to, droga Gino, — zawołał Lucyan, — nie poznałaś mnie?

(Ciąg dalszy nastąpi.)



W żłobie leży, któż pobieży, kolędować Małemu...

 Drukiem „Pracy“.